

aleje 3

NUMER 86 marzec - kwiecień 2008
ISSN 1427-8812 CENA 2 zł

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy





aleje 3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

**Pismo finansowane
przez Urząd Miasta Częstochowy**

Wydawca

Biblioteka Publiczna
im. dr. Wł. Biegańskiego
w Częstochowie
Al. Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
www.biblioteka.czest.pl

Redakcja

Aleje NMP 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
aleje3@op.pl

Teksty niezamówione nie będą zwracane.
Zastrzegamy sobie możliwość opracowania
i skracania przysłanych materiałów.

Poglądy Autorów nie zawsze
odzwierciedlają poglądy Redakcji

Red. Naczelny

Marian P. Rawinis
Tel. 0505-666-486
mprawinis@poczta.onet.pl

Skład i łamanie

Krzysztof Klaus

Druk i oprawa:

Sowa - druk na życzenie
www.sowadruk.pl
tel. (0-22) 431-81-40

Być w rodzinie najmniejszym albo najmłodszym, to los nie do pozazdroszczenia. Zazwyczaj uważa się, że najmłodszy niepotrzebnie pęta się pod nogami, przeszkadza, marudzi i popłakuje bez powodu. Wszyscy go uważają za zawałę i kłopot, może poza przypadkiem, gdy nas odwiedzi jakaś ważna ciocia i trzeba, żeby ten najmłodszy, mały Jasio, powiedział wierszyk, ponieważ rodzina chce się Jasiem pochwalić – jaki on zdolny, jaki rozwinięty etc.

Na co dzień sprawa wygląda dużo gorzej. Mały Jasio, dlatego że jest najmłodszy albo tylko najmniejszy, musi się dostosowywać do surowych praw rodziny i to bardziej, niż inni jej członkowie. Musi zaakceptować fakt, że jest najmniej ważny, co oznacza, że przypada mu wątpliwy zaszczyt noszenia ubrań po starszym rodzeństwie, a bywa, że i jeść dają mu w drugiej kolejności.

Oficjalnie, mały Jasio jest dla rodziny ważny, rodzina mówi nawet, że jest on jej skarbem albo oczkiem w głowie. Jednakże to tylko słowa. W praktyce bowiem potrzeby małego Jasia zaspokajane są na szarym końcu. Z praktyki funkcjonowania rodziny wynika bolesne dla małego Jasia doświadczenie, że komputer trzeba najpierw kupić starszym dzieciom, a także rower, telefon, samochód. Na zabawki dla małego Jasia często nie wystarcza i bywa, że na pocieszenie otrzymuje on plastikowy gadżet kupiony na wyprzedaży. Jakby tego było mało, każdy wykorzystuje małego Jasia, bezceremonialnie grzejąc się w blasku jego osiągnięć w przedszkolu czy szkole. Dobrze, że chociaż zapewnia się Jasia o miłości, wszak jesteśmy jedną wielką i kochającą się rodziną.

Jeśli w ramach protestu o nierówne traktowanie, mały Jaś ucieknie z domu (do parku) i zostanie szczęśliwie odnaleziony, będzie mógł zakosztować pocałunków oraz licznych zapewnień, że rodzina jest ważna jako całość i komplet, a osiągnięcia, podobnie jak problemy, rozkładają się na wszystkich jej członków, odpowiednio do wieku, możliwości i zdolności.

Rodziną w dzisiejszych czasach określamy też większe społeczności, jak gmina, powiat, województwo, państwo, Unia Europejska, że o rodzinie ludzkiej nie wspomnę. Wszystkie elementy składowe tych organizmów uznajemy za jednakowo ważne i mające takie same prawa, ponieważ wszystkie pracują na rzecz wspólnego dobra. Wszyscy więc powinni korzystać z dobrodziejstw, jakimi są poczucie wspólnoty, opieka, poczucie bezpieczeństwa i – dochody.

Województwo śląskie jest rodziną. Kiedy wszystkie dzieci tej rodziny traktowane są równo, jednakowo, to lepiej dla rozwoju wszystkich. Tymczasem można odnieść wrażenie, że Częstochowa jest tylko małym Jasiem w woj. śląskim. Takim, co to może nosić buty po starszym bracie i długo jeszcze musi czekać na pierwszy zegarek. Ale jak trzeba się pochwalić osiągnięciami naszej wspólnoty (województwa), rodzina skłonna jest wystawiać Częstochowę na krzesło, żeby zaprezentowała swój dorobek, rozumiany wówczas jako część dorobku rodziny, czyli województwa.

W podziale pieniędzy z urzędu marszałkowskiego nie znalazło się nic dla pisma „Aleje 3”, jedyne pismo tego typu w tej części naszego regionu (rodziny). Nie znalazło się, ponieważ pismo jest jakoby lokalne, częstochowskie. Słowem - Częstochowa jest małym Jasiem, który musi czekać i liczyć, że może starsze rodzeństwo coś dla niego zostawi na talerzu. Z punktu widzenia śląskiej, wojewódzkiej rodziny, rozwój Częstochowy (małego Jasia) ma zupełnie drugorzędne znaczenie.

To co, mamy powiedzieć jakiś wierszyk?

Marian Piotr Rawinis

NIECHCIANE PEJZAŻE Ze Zdzisławem Żmudzińskim rozmawia Marian Panek

Urodziłeś się w Zabrze na Górnym Śląsku, studiowałeś we Wrocławiu na Dolnym Śląsku. Pracujesz i mieszkasz na Jurze – w Częstochowie. Przypomnij swoją drogę do naszego miasta.

Na egzaminach wstępnych, ponad 30 lat temu, do PWSSP we Wrocławiu poznałem częstochowiankę - moją obecną żonę Agnieszkę. Dwa lata później byliśmy małżeństwem. W 1980 r. dostaliśmy - „dostaliśmy”, jak to śmiesznie brzmi - kupiliśmy mieszkanie M-5 na Północy. Wiadomo, jak w tamtych czasach było trudno o mieszkanie. Mogliśmy właściwie wybierać – albo Częstochowa albo Zabrze. Przeniósłem mój wkład z zabrzańskiej spółdzielni mieszkaniowej do Częstochowy, i tak się tu znalazłem.

Studiowałeś grafikę we wrocławskiej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych, obecnej ASP. Jakich miałeś profesorów?

Najbliżej miałem do katowickiej ASP, ale chciałem wyjechać ze Śląska. Wrocław zawsze podobał mi się, miasto i klimat w nim panujący. A dlaczego grafika? Po maturze zdawałem na inne studia. Niestety, nie dostałem się. Trzeba było chronić się przed wojskiem. Koniec września, poszukiwania, kiwania, ...jest! Dodatkowa rekrutacja do Studium Nauczycielskiego, kierunek: wychowanie plastyczne, w Gli-

wicach. Jestem w Studium, a nie w wojsku. I właśnie tutaj zaraziłem się rysunkiem i grafiką. Porzuciłem wcześniejsze plany i zdecydowałem, że tylko grafika i nic więcej. Przypadek zdecydował o moim losie. Byłem w pracowni dyplomowej prof. Jana Jaromira Aleksyuna i u niego też robiłem dyplom. Grafikę warsztatową realizowałem w pracowni prof. Andrzeja Basaja, a bardzo dobrą szkołę rysunku i malarstwa otrzymałem w pracowni prof. Wandy Gołkowskiej i prof. Feliksa Podsiadłego.

Obecnie jednak więcej malujesz, niż odbijasz grafiki. Dlaczego to malarstwo stało się Twoją domeną?

Rzeczywiście, od dłuższego czasu więcej maluję. Ale malarstwo nie stało się moją domeną. Przez dwa lata w ogóle nie malowałem, tylko realizowałem grafikę. Wykonałem wtedy około trzydzieści matryc. W latach osiemdziesiątych, jak zapewne pamiętasz, na wystawach w BWA prezentowałem w większości rysunki. Przez ostatnie około 20 lat maluję. Teraz mam w planach zająć się tylko rysunkiem. W zależności od pomysłów – doбираю medium. Przez kolejne lata na wystawach będę prezentować tylko rysunki, no może czasem - jakiś obraz.

Jesteś po habilitacji. O czym pisałeś w swojej rozprawie?

Tytuł mojej rozprawy habilitacyjnej to „Ślad czasu”. Może pominię teraz aspekt naukowy, bo chodzi ci pewnie o związek rozprawy z moją działalnością artystyczną, o rozdział z nią związany. Interesują mnie miejsca, które nie są powszechnie oglądane i podziwiane. W tym też jest piękno, choć innego rodzaju. Spójrzmy na zaniedbane podwórka, stare obiekty i NIECHCIANE PEJZAŻE. I właśnie te niechciane pejzaże są dla mnie pretekstem do pokazania tego, co mnie interesuje. Dla jednych brzydota, dla innych odrębność. Inspiruje mnie to do szukania własnych środków wyrazu. Poprzez kolor, fakturę, formę i materię buduję to, co zostało już zniszczone. Jesteśmy przecież świadkami i uczestnikami relacji zachodzących między organizmami a środowiskiem. Mieszkając 24 lata na Górnym Śląsku odbierałem to szczególnie dotkliwie – gigantyczne monstra przemysłowe z jednej strony, z drugiej – skarlłowaciałe drzewa, wypalona chemią trawa i widoczne gołym okiem powietrze. Dochodzi do tego typowy krajobraz



Lwów 1980

miejski: małe, ciasne podwórka z trzepakiem i betonowym śmietnikiem pośrodku, rzędy drewnianych komórek i czteropiętrowe domy z czerwonej cegły. Idąc dalej: piękny, sielski, nieskazony pejzaż przedstawiam tak, jak będzie wyglądał za nascie, dziesiąt lat, gdy fabryki wejdą na nasze podwórka, gdy cywilizacja całkowicie odhumanizuje świat, w którym żyjemy. Kiedyś Pablo Picasso powiedział, że nie można sprzeciwiać się naturze. Jest silniejsza od najsilniejszych ludzi i wszystkim nam oplaca się żyć z nią w zgodzie. Możemy pozwolić sobie na trochę poufałości, ale tylko w drobiazgach. Będąc pełen pokory wobec natury, pozwoliłem sobie jedynie na drobną poufałość, a mianowicie na zapis ginącej rzeczywistości, pamięci dotyczącej przeszłości; jest to pamięć przetransformowana przez przeżycia i czas, który jest jednym z wyznaczników przestrzeni czterowymiarowej. W swoim malarstwie pokazuję moją prawdę, która jest sumą szczerości i rzetelności; jest to prawda mojego stosunku do przyrody, do człowieka, do całego środowiska. Jest to stosunek do mojej pracy, mojej twórczości i wreszcie do siebie samego. I to właśnie w mojej pracy habilitacyjnej opisuję, również w aspekcie psychologicznym i filozoficznym.

Przewodisz zajęcia z rysunku i malarstwa na kierunku Grafika. Co istotnego chcesz przekazać swoim studentom?

Oprócz nauki warsztatu, przekazuję ważność określenia własnego obszaru penetracji, skupienia uwagi na badaniach relacji zachodzących pomiędzy kolorem, walorem, światłem, cieniem, strukturą, fakturą i materia, i na bazie tych relacji budowania kompozycji, które są aktywne emocjonalnie. Przestrzegam przed spekulacją, a zawieraniu intuicji, gdy podejmują decyzję. Uczę, jak posługiwać się własnym kodem malarskiego porozumiewania, który wywodzi się z tej właśnie intuicji. Przekazuję studentom, że w skonstruowanej i zdefiniowanej płaszczyźnie nie ma miejsca na narrację i przesadne w skutkach eksperymentowania. Uczulam na to, by obraz był zapisem uporządkowanym, podporządkowanym swoim własnym rytmom. Jeżeli te wszystkie warunki zostaną spełnione, nie mam obawy, że zatrze się granica pomiędzy prawdą a fałszem. Z największą powagą studenci muszą traktować elementy formalne, poszukiwać od-

powiedniego „kształtu” do wyrażania nawet pozornie błahych spraw, bronić się przed posługiwaniem się konwencjami, pamiętając, że odnoszą się do rzeczywistości. Uczę zdyscyplinowania wypowiedzi w celu uzyskania maksymalnej siły wyrazu przy użyciu adekwatnych środków, czyli jak operować elementami sugerującymi powiązania ze „światem rzeczy”, bo malarstwo jest odległe od literackich skojarzeń, nieprzetłumaczalne na żaden inny język poza wymową materii, światła i koloru.

Czym dla Ciebie jest plener malarski? Często w nich uczestniczysz. Kiedy plener jest udany?

Rzeczywiście, ostatnio jestem częstym uczestnikiem plenerów. Na plenerach człowiek jest zwolniony od wszelkich innych niepotrzebnych obowiązków, oderwany od codzienności i wtedy można bez zakłóceń zająć się twórczością, realizacją własnych projektów i poszukiwaniem nowych mediów...

Na ostatnim Plenerze Jurajskim zagrałeś tytułową rolę w filmie Jacka Sztuki, a wcześniej, jak pamiętam, grałeś w filmie Andrzeja Żuławskiego „Na Srebrnym Globie”. Zrealizowałeś też własny film ze wspólną muzyką Wojciecha Kilara. To są te poszukiwania nowych mediów?

W tym ostatnim wypadku - tak, natomiast w dwóch pierwszych byłem elementem medium projektów Jacka Sztuki i Andrzeja Żuławskiego. A doświadczenia plenerowe? Poznawanie nowych ludzi, rozmowy, niczym nie zakłócony czas na twórczość - to dobrze służy realizacji własnych projektów. Wszystkie plenery, w których uczestniczyłem, były udane.



Paríž 1992

PLASTYKA

Od początku lat dziewięćdziesiątych nastąpiły różnorodne zmiany w naszym mieście. Które uważasz za najważniejsze?

Tak szczerze, czy dla oczekiwań?

Szczerze.

Oprócz tego, że wydawane są katalogi z wystaw, kolorowe, dobrze zaprojektowane i wydrukowane na bardzo dobrym poziomie – to żadnych zmian nie zauważyłem.

Czy Częstochowa może stać się miastem sztuki? Czy istnieje tu dobry klimat dla artystów?

Może, ale to zależy tylko i wyłącznie od władz miasta i od funduszy przeznaczonych na ewentualne imprezy. Wielu artystów ma bardzo dobre pomysły na reklamę Częstochowy w dziedzinie sztuki, ale bez wsparcia finansowego nie da się nic zrealizować. Klimat dla artystów w Częstochowie jest bardzo dobry. Jest nas w całym okręgu chyba niewiele ponad 100. Wielu skupiło się wokół Instytutu Plastyki Akademii im. Jana Długosza, mamy więc ze sobą stały, dobry kontakt. Naprawdę można by zrealizować wiele nowych cyklicznych imprez podobnych do „Jurajskiej Jesieni” – najdłuższej cyklicznej imprezy plastycznej w kraju, ale na przeszkodzie stoi, jak już wspominałem, brak funduszy.

Miałeś szereg indywidualnych wystaw za granicą. Jaka jest różnica między wystawami w kraju a wystawami za granicą?

Znowu wychodzi ta proza życia... Na wystawach za granicą polscy artyści są naprawdę docenieni – właściciele galerii, władze miasta, zaproszeni na wernisaż goście dokonują zakupów dzieł. Artysta ma motywację do tworzenia. W Polsce: wernisaż, wystawa i prace wracają do pracowni. I kolejne, kolejne, kolejne. W takim wypadku albo trzeba pracować na etacie, albo poszukiwać zleceń projektowych lub ewentualnych nabywców swoich prac. Jest nam wszystkim wstyd, że taki jest polski rynek sztuki, że jest taki brak zainteresowania sztuką współczesną. Zadajemy sobie często pytanie, czy w takim razie jesteśmy potrzebni jako artyści. Nie oszukujemy się – taka jest prawda. Zobaczymy, co dzieje się w galerii ZPAP w III Alei. Te same, naprawdę dobre obrazy i grafiki, od lat czekają na nabywcę. Ceny są bardzo niskie. I co? I nic. Dalej wiszą na ścianach galerii. Ale to nie tylko u nas. Tak jest w całej Polsce. A my na przekór temu wszystkiemu tworzymy, tworzymy, tworzymy... Może dlatego, że chcemy pozostawić coś po sobie... No nie, koniec, bo zaczynam wkraczać w niebezpieczne rejony... Przecież jeszcze żyjemy... JESZCZE.

Dziękuję za rozmowę.



Plener Jurajski 2006

Truchcikiem po galeriach

XXXIII Ogólnopolski Plener Malarski „Jurajska Jesień”, którego komisarzem był Jacek Sztuka, po raz kolejny przedstawił swój artystyczny dorobek w Miejskiej Galerii Sztuki. Ten najdłużej kulturowany w Polsce związkowy, ZPAP-owski plener, pt. „Podróż w czasie” odbył się w Hucisku na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej jesienią 2007. Koncepcja całości zakładała twórczy malarski dialog z prehistorią tego regionu, malarstwem naskalnym, rzeczywistością czy też wyobrażeniem życia człowieka pierwotnego. Najważniejszym dziełem spotkania artystów stał się jednak film. Powstał interesujący pod wieloma względami obraz filmowy z uczestnikami pleneru w zbiorowej roli głównej, przedstawiający opis obyczajów artystów współczesnych przeniesionych w czasy prehistoryczne. Film, sprawnie zmontowany jako fantastyczna opowieść o człowieku pierwotnym – malarzu naskalnym Jurasie i uczestnikach pleneru, pokazał, że artyści plastycy, niezależnie od swoich zdolności aktorskich, kondycji fizycznej czy psychicznej czy też tak zwanych warunków emocjonalnych i intelektualnych, lubią uczestniczyć w zbiorowym akcie kreacji,

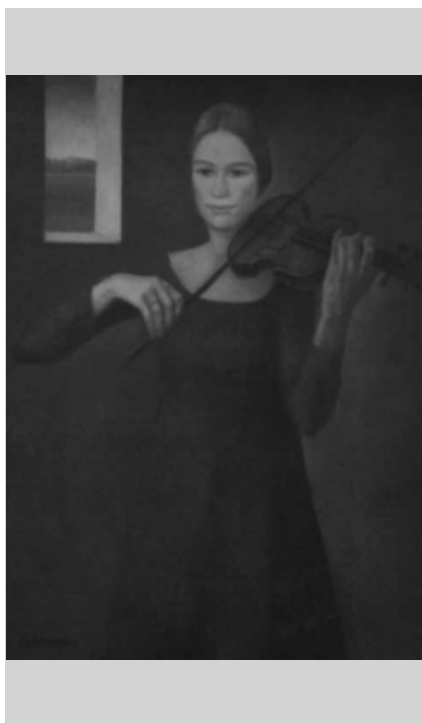
kiedy zapragnęli podróży w czasie. Wszystkie te filmowe akty twórcze reżyserował Jacek Sztuka. Trochę gorzej było z twórczym malarskim dialogiem z prehistorią naszej Jury, co dało się zauważyć na samej wystawie. Chwilowy eksperyment i zmianę plenerowej optyki z klasycznego pejzażu na inaczej pomyślany i realizowany obiekt malarski wprowadzili do swej twórczości Elżbieta Chodorowska, Włodzimierz Karankiewicz, Maria Oglaza a w instalacjach Jacek Sztuka. Reszta uczestników poprzestała na lepszych lub gorszych pracach pejzażowych.



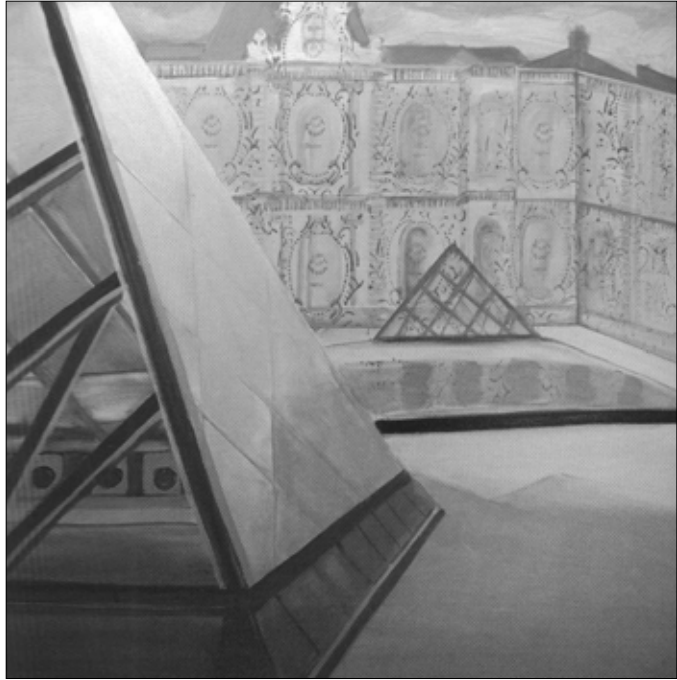
Lukasz Kolman, absolwent Instytutu Plastyki Akademii im. Jana Długosza, zaprezentował w marcu w Miejskiej Galerii Sztuki na swojej kameralnej indywidualnej wystawie malarstwa kilka dobrych i interesujących obrazów, mocno wypracowanych w kolorze i wręcz tektonicznej reliefowej fakturze, zagęszczonej i układanej precyzyjnymi warstwami. Tematyka prac, związana jednoznacznie z życiem oraz męką Chrystusa na krzyżu, nawiązuje w układach kompozycyjnych do sztuki romańskiej i bizantyjskiej. Na wystawie znalazły się również wyobrażenia malarskie wychodzące poza te rozwiązania; prace bardzo osobiste, wyciszone w kolorze i mniej dekoracyjne, jak na przykład „Zmartwychwstanie”, utrzymane w ciepłej tonacji różnorodnych ugrów podbudowanych czerwienią.



W Galerii Ośrodka Promocji Kultury „Gau-de Mater” odbył się wernisaż wystawy „One” (8 marca). Swe prace malarskie zaprezentowała profesor Akademii im. Jana Długosza, **Magdalena Snarska**. Obrazy, będące wyłącznie kobiecymi portretami osób współcześnie żyjących, w konwencji malarskiej nawiązują w zasadniczym sposób do renesansowego sfumato – miękkiemu malarskiemu konturowi oraz związanej z tym zjawiskiem perspektywy powietrznej i kolorystycznej. Delikatnie rozwibrowany aktywny kolor, a także uduchowione jego świetlistością portretowane postaci, wyrażają nostalgiczne emocje unieruchomionego w kompozycyjnym kadrze indywidualnego istnienia i trwania. Są wyrazem emanacji chwili oraz wzniosłego piękna.



„Paryż” **Joanny Stępień** to wystawa zaprezentowana w Konduktorowni - Galerii Regionalnego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Częstochowie. Wystawa artystowska, przywołująca miasto Paryż z jego architekturą, atmosferą, tradycją i obyczajem. Wiele prac przekłada się na ten dekoracyjny pokaz, choć niektóre z nich nie są zbyt efektowne, zwłaszcza te z zastosowaniem brokatowej folii czy samego brokatu. Artystka stara się tworzyć współczesne znaki, popikony słynnego miasta sztuki, kultury zbytku, bez troski, zabawy – uwodząc nas różnokolorowymi refleksami popkulturowych zjawisk, nawiązując bez wątpienia do myślenia Andy Warhola w sztuce. Jednak sens tego malarskiego przekazu Joanny Stępień, oparty o istotę glamour, jest ograniczony przesadną dekoracyjnością. Chociaż taka praca jak „Wieża Eiffela dniami” czy „Luwr” oraz „Fontanny przy Centrum Pompidou”, różnorodnie rozważające przestrzeń w obrazie, są stanowczo godne uwagi. Zwłaszcza „Luwr” ze swoim klimatem kolorystycznym i skomplikowaną przestrzenią malarską mówi o olbrzymim potencjale twórczym artystki. Mimo wszystko dalej prawdziwie i wiecznie żywe w różnorodnych kontekstach jest powiedzenie, że... i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu...



Jakub Jakubowski w Galerii Krypta u Pijarów w Krakowie prezentował w lutym i marcu swoją indywidualną wystawę malarstwa, składającą się z ponad trzydziestu obrazów, zwykle o wydłużonych kompozycyjnych osiach pionowych czy poziomych. W swoim malarskim przekazie młody artysta, absolwent Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie, a obecnie jej pracownik, poszukuje poprzez znaki i symbole współczesnych konotacji sakralnych tematów, religijnego ich wymiaru. Kontekst sakralny wyciszonych kolorystycznie większości obrazów, podbudowanych świetlistością materii i zgeometryzowanymi podziałami płaszczyzny, przywołuje nastroj skupienia i uwagi, ale również mistycznego napięcia ekspresji malarskiej zawartej w obrazie.

Marian Panek

Kolejny – XXI Plener Miejski...

Od lat Związek Polskich Artystów Plastyków – Okręg Częstochowski jest organizatorem Plenerów Miejskich. Jest to przedsięwzięcie artystyczne, w którym biorą udział artyści plastycy zrzeszeni w częstochowskim ZPAP.

W ubiegłym roku (dwudziesty raz z rzędu) odbył się Plener Miejski, w którym przyjęliśmy nową formułę, zaproponowaną przez komisarza (wylonionego w drodze konkursu) - Urszulę Lyko - Katus.

Odbył się on pod hasłem „XX Plener Miejski, czyli podglądanie Częstochowy przez dziurkę od klucza”.

Plener miał charakter retrospektywny, sięgnęliśmy bowiem do indywidualnych wątków biograficznych artystów, co wzmocniło wzajemne relacje, wróciły również wspomnienia związane z osobami, których już nie ma wśród nas.

Wernisaż wystawy poplenerowej, który odbył się 18 stycznia 2008 roku w Miejskiej Galerii Sztuki, utwierdził nas o trafności podjętych zmian, gdyż prace prezentowane na wystawie wywołały żywe wspomnienia wśród odbiorców sztuki, którzy prowadzili z artystami niekończące się rozmowy o mieście, dzielili się także osobistymi uwagami i przeżyciami.



Fot. Leszek Pilichowski

Tak życzliwy odbiór wystawy przyczynił się do ponownego spotkania artystów, podczas którego twórcy postanowili kontynuować temat w następnej edycji pleneru, pod ponownym „przywództwem” Urszuli Katus. Artystka zaproponowała nowy temat pleneru „Klucz-ymy” po Częstochowie, którego idea jest ukazanie „miejskich faktur” podlegających ingerencji czasu i historii, przedstawienie liryki przedmiotów, znaków, ludzi oraz uwzględnienie symboliki klucza i otwierania. Dzieła artystów obejmą różne techniki malarskie, obejmą również instalacje, grafikę, ceramikę, rzeźbę.

W programie tego pleneru są też cykliczne spotkania i wycieczki po zaułkach miasta, po muzeach i kościołach. Już teraz zapraszamy na wystawę poplenerową wiosną przyszłego roku – będzie eksponowana w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie.

Za Zarząd Okręgu ZPAP
Prezes Okręgu Czesław Tarczyński
Wiceprezes Okręgu Maria Oglaza

„Bez pointY”

W OPK „Gaude Mater” **Jakub Szyma**, artysta fotografik, zaprezentował kilkanaście swoich znakomitych prac.

Jakuba Szymę fascynuje taniec nowoczesny, który udalnie rejestruje w ruchu pełnym wysiłku, skupienia, artystycznego wyrazu i indywidualizowanej interpretacji. Artysta podkreślał podczas otwarcia wystawy fakt fotografowania tancerzy na żywo, podczas występów.

Jednak oglądając prace, niełatwo oprzeć się wrażeniu statyczności tańczących, bowiem robią wrażenie zamarłych, uchwyconych w granych pozach, wcale nie dynamicznych, w ruchu. Fotografie zniewalają barwą, wibrującym światłem, zatrzymanym w kadrze pięknym ruchem, niecodziennym, niszowym tematem. Estetykę i elegancję prac podkreśla wykonanie ich na autentycznym papierze fotograficznym (mimo dużego formatu), tym samym czyniąc z nich małe dzieła sztuki, niepowtarzalne obrazy ludzkiego piękna.

Komisarz wystawy, Robert Sękiewicz, stwierdził, że monotematyczne prace Szymy robią wrażenie reportażu, z czym sam artysta się nie zgodził, mówiąc, że dla niego jest jeszcze za wcześnie na etap reporterski.

J. Grochowska

Rzeki naszego miasta

Warta, rzeka pierwszego rzędu w Królestwie Polskim, bierze początek w bliskości osady Kromolowa w pow. Olkuskim, na wyżynie Łysogórskiej (29 metrów), i płynie ku północy aż pod Częstochowę, odkąd zwraca się ku wschodowi, następnie ku północy (pod Działoszynem), od Koła do Szreму płynie w kierunku zachodnim, znowu zwraca się ku północy, by wreszcie przybrawszy wschodni kierunek, wpaść do Odry koło Kisztrzyń. Długość całkowita W. wynosi 712 klm, szerokość 80-94 metrów (...) Płynąc od Częstochowy przez jednostajną równinę w brzegach niskich, posiada bieg bardzo powolny i rozdziela się na wiele ramion. Co wiosna wylewa (...)

Encyklopedia Orgelbranda, 1903



Fot. Zbigniew Burda

WYSOKIE DRZEWA

„O, cóż jest piękniejszego, niż wysokie drzewa!” – zachwycał się Leopold Staff. Niestety, nie wszyscy podzielają jego zachwyt.

Otwarto zrewaloryzowane parki podjasnogórskie im. Staszica i 3 Maja. Sporo szarego granitu, trochę żwirowych alejek, odrestaurowane pawilony wystawowe. Dużo roślin cebulkowych i różnych bylin; zobaczymy, jak zakwitną wiosną. Dał się jednak słyszeć głos, że wszystko tu piękne z wyjątkiem... drzew (!) Tak, tak, potężnych drzew w Alei Sienkiewicza. Przykro, gdy ktoś znaczny i mądry korzysta ze swego autorytetu i wywiera psychiczny nacisk, publicznie opowiadając podobne rzeczy. I to nie pierwszy raz. Takie zaangażowanie w walkę z drzewami budzi zdziwienie.

Mówił kiedyś profesor Wiktor Zin na spotkaniu podczas pielgrzymki akademickiej na Jasnej Górze o pewnym jegomościu, który kazał wyciąć piękne drzewa, bo mu zasłaniały widok na wieżę jego nowobogackiej wili-pałacyku. Tutaj wieża inna, ale rozumowanie jakby podobne. Odsłonić i już.

Żle pod tym względem wróżyły zeszloroczne publikacje i wypowiedzi prasowe uzasadniające, iż trzeba drzewa usunąć



Władysław Ratusiński



Fot. Leszek Pilichowski

z tej alei, a nowych sadzić nie warto, bo po paru latach znów będzie problem. Na skraju parku bowiem korony kształtują się nierównomiernie, ku wolnej stronie. Idąc tym tropem rozumowania trzeba by powycinać wszystkie drzewa w parku, bo przecież zawsze któreś będą na skraju. Zresztą, drzewa rosnące w Alei Sienkiewicza nie potwierdzają tych opinii, bo z ich koronami jest akurat odwrotnie. A jakie piękne są dęby na skraju lasu, choćby w Kuźnicy Kiedrzyńskiej!

Przeszkadzać miały także wyrośnięte kilkunastoletnie kasztanowce, które chciano by przesadzać! Co prawda jesienią pojawiły się w Alei Sienkiewicza młode, opalikowane drzewka, uzupełniające rzędy. Wyglądało na to, że jednak rozsądek zwyciężył. Ale już ich nie ma. Aleja bez drzew, cóż za absurd!

Drzewa chore wycięto w zeszłym roku; pozostałe powinny być starannie pielęgnowane - to oczywiste, by nie stwarzać zagrożeń - a nie usuwane. Powstałe luki trzeba uzupełnić nowymi drzewami, a nie niskimi krzaczkami! Przecież drzewa decydują w dużym stopniu o pięknie tego miejsca. I tak jest od wielu lat. Wystarczy obejrzeć stare zdjęcia, pocztówki. Jasna Góra w oprawie potężnych drzew ma swój charakter. Pielgrzym, po przejściu Alei Sienkiewicza, gdzie może znaleźć wytchnienie od upału w cieniu wysokich drzew, wychodzi na plac zalany słońcem. A idąc - widzi jasną wieżę i szczyt bazyliki; po zbudowaniu na wiszącym podium, w osi alei, ołtarz na szczycie jest dobrze widoczny z każdego jej miejsca. Drzewa w najmniejszym stopniu nie ograniczają tej widoczności. Chyba że chodzi o pokazywanie trybun, zasłaniających - wbrew pierwotnym założeniom - elewację. Ale to chyba nie jest najważniejsze, na czym powinna się skupiać uwaga uczestników liturgii.

Przy okazji przebudowy nawierzchni I i II Alei Najświętszej Maryi Panny wraz z placami Biegańskiego i Daszyńskiego, warto zwrócić uwagę na piękne stare



Fot. Zbigniew Burda

drzewa stanowiące oprawę kościoła św. Jakuba. W ciągu ponad wiekowej historii obecny plac Biegańskiego również zmieniał swój wygląd. Na starych pocztówkach widać ratusz wśród drzew. Jeszcze w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku rosły tu potężne kasztanowce. Przy okazji budowy wysokiego pomnika wdzięczności Armii Czerwonej, plac poddano przebudowie, wycinając większość drzew po stronie rausza. Natomiast po stronie północnej zabrano część terenu należącego do kościoła św. Jakuba, zachowując jednak rosnące tam drzewa. I tak jest do dziś. Od paru lat pojawiają się jednak pomysły „odsłonięcia” kościoła. Pomysły nieopisanie szkodliwe. Wszak wyjątkowy urok tej budowli polega na tym, że jasna bizantyńska bryła świątyni, oświetlona nocą reflektorami, przeziiera przez korony drzew, świeci w słońcu w złocie i brązach jesieni i wśród bujnej zieleni lata. Pozbawienie lub tylko zubożenie tej oprawy, odbarcie z bogatej szaty natury, byłoby niepowetowana strata i dla samego kościoła, i dla krajobrazu miasta.

Dość podobnie o potrzebie zachowania starych drzew myślał architekt Marek Chmura i Paweł Korzewski, laureaci, konkursu

na przebudowę Alei Najświętszej Maryi Panny, przygotowujący projekt do realizacji. Przewidują oni zachowanie drzew – szkoda że nie wszystkich – choć otoczonych granitową nawierzchnią placu. Szkoda też dużych cisów i wyjątkowo ładnie rozrośniętej kosodrzewiny, dla których na placu brakuje miejsca.

Wolno żywić nadzieję, że osoby, które podejmują decyzje nie

ulegną ewentualnym dalszym naciskom „odsłania-czy”, zaś echa nieszczęsnego odsłaniania nie będą się już obijać o czcigodne mury świętego Jakuba i nie będziemy zmuszeni w niedalekiej przyszłości chodzić po ogołoconym placu. Znam opinie na ten temat osób ze środowisk naukowych i artystycznych. Nie kryją zdziwienia i oburzenia takimi pomysłami. Myślę, że nie są w tym odosobnieni. Tu można przytaczać dalsze argumenty z dziedziny ekologii, historii, estetyki. Warto też zwrócić uwagę na taki „drobiazg”, że w czasie procesji Bożego Ciała jest to jedyne miejsce na placu, gdzie się można schronić przed upałem, w cieniu drzew.

Podobny problem dotyczy Alei Najświętszej Maryi Panny i Placu Daszyńskiego. W II Alei drzewa są chore i trzeba je wymienić. Ale można by zachować największą, rozłożystą lipę naprzeciw „Merkurego”. A nie mechanicznie wycinać wszystko. Podobnie z dużym drzewem u wylotu ulicy Piłsudskiego. Wątpliwości budzi też przyjęte założenie konserwatorskie, że drzewa w Alei muszą mieć korony stożkowe, by nie zasłaniać widoku na Jasną Górę. Taki warunek nie ma uzasadnienia historycznego, a drzewa z koronami rozłożystymi, tworzące parasol nad deptakiem, dają cień, tak upragniony przez wędrujących w spiekocie pątników. Zaś stopniowe, w miarę wędrowki, ukazywanie się jasnogórskiej wieży w bogatej oprawie drzew, może dostarczać wędrowcowi głębszych przeżyć, niż gdy cały widok ma on od razu przed sobą.

Niekorzystne dla rozwoju drzew jest umieszczenie ich wyżej od poziomu nawierzchni, wymuszone wcześniejszym planem nasadzenia. Zwracał na to uwagę – jak dotąd bezskutecznie – wybitny autorytet w dziedzinie dendrologii, profesor Janusz Hereźniak. Plan ten powinien być dostosowany do projektu całej Alei. Jest to ważne także ze względów estetycznych i pozwoliłoby uniknąć tak agresywnych granitowych obramień, jakie są w III Alei.



Pocztówka, początek XX w.

SAMMY LEE I TELEFON

*Jeśli chcesz poznać wartość pieniędzy,
spróbuj ich trochę od kogoś pożyczyć.*

Benjamin Franklin

„Mały świątek Sammy Lee” Kena Hughesa jest sztuką nie tylko o człowieku, który pożyczył pieniądze od bukmachera i musi oddać dług, a jeżeli tego nie zrobi w określonym czasie zostanie pobity i oszpecony. Tekst ten, w postaci dobrze skrojonego monodramu, jest przeznaczony dla bardzo dobrego aktora i dużo może powiedzieć o jego umiejętnościach, a ostatecznie je weryfikuje. Ten, kto podejmuje się takiego scenicznego zadania, jest świadomy swoich możliwości aktorskich i aby wyjść obronną ręką z pojedynku z tekstem monodramu, musi stworzyć ewidentną kreację.

Sztukę napisał Ken Hughes, zmarły w 2001 roku brytyjski scenarzysta i reżyser. W 1958 roku przygotował on scenariusz telewizyjny pt. „Sammy”, który cztery lata później wykorzystał do filmu fabularnego, zmieniając pierwotny tytuł na „Mały świątek Sammy Lee”. Sammy’ego grał w polskim teatrze telewizji Zbigniew Cybulski (1962) oraz Roman Wilhelm (1990).

W częstochowskim Teatrze im. Adama Mickiewicza w rolę spryciarza, kombinatora i hazardzisty wcielił się Piotr Machalica. Na premierze, która odbyła się na małej scenie 1 marca - w reżyserii i scenografii Anny Kękus-Poksy – znany aktor, a zarazem dyrektor artystyczny naszego teatru, zagrał szereg etiud aktorskich na różne tematy, nawet zgrabnie i interesująco. I tak od początku pokazał: jak Sammy śpi,



budzi się, kaszle, pali papierosa, nastawia radio, czeka na transmisję radiową z wyścigów konnych, słucha relacji z gonitwy, przeżywa ją, kombinuje w pośpiechu w kilkunastu rozmowach telefonicznych, jak zdobyć pieniądze na łączonych transakcjach z różnymi hurtownikami, sklepikarzami i restauratorami, by w końcu, niestety nie zdobywszy wymaganej sumy pieniędzy, stanąć oko w oko z egzekutorem długu.

Świetny tekst monodramu Machalica może zbyt poróżbiać na wypunktowane części i rytmy. Bez wątplenia zagrał przekonywująco i z werwą w biznesowych rozmowach telefonicznych, poza rozmowami z młodą przyjaciółką, oczekującą na bohatera w pobliskim barze.

Interesująca sama w sobie jest scena relacji radiowej z hipodromu w wykonaniu reportera sportowego Włodzimierza Szaranowicza (po mistrzowsku przygotowane nagranie).

Myszę, że Piotr Machalica jeszcze „dociera się” do roli Sammy’ego, by wejść w jego skórę.

Marian Panek



Fotografie: Piotr Dłubak

CO KOŃ WYSKOCZY albo nasza nowa „Zemsta”

Marian P. Rawinis

Dyrektor teatru mówił przed premierą, że reżyser nadał starej sztuce nowe tempo. Reżyser Grzegorz



Warchoł oznajmił, że tempo jest szybkie, ponieważ komedię należy grać dwa razy szybciej niż dramat. W efekcie częstochowska inscenizacja „Zemsty” dzieli się na dwie części - po 38 minut. Razem daje to 76 minut, łatwo więc zmieści się podczas dwóch szkolnych lekcji języka polskiego. Pytaliśmy reżysera, czy zastosował jakieś skróty w tekście. Nie, nie zastosował, sztukę możemy oglądać tak, jak ją napisał Aleksander Fredro. Oszczędności czasu uzyskano zaś właśnie dzięki szyb-



Fotografie: Piotr Dłubak

kiej grze aktorów - 76 minut to rzeczywiście tempo ekspresowe (znana „krakowska” inscenizacja Olgi Lipińskiej trwa około 100, tyleż liczy sobie film Andrzeja Wajdy).

Innowacyjność nowej inscenizacji „Zemsty” podziwialiśmy na przedstawieniu premierowym. Przez pierwszą część spektaklu, trwającą jak wspomnieliśmy ok. 38 minut, publiczność siedzi wbita w fotele, ze wzrokiem utkwionym w usta aktorów, z uszami maksymalnie nastawionymi ku słuchaniu. Ze sceny płynie tekst, a wszyscy są tak bardzo skoncentrowani na jego odbiorze, że nie mają czasu (i możliwości) na jakiegokolwiek reakcję. Przez owe 38 minut prawie nikt się nie śmieje, bo nie ma kiedy. Słowo leci za słowem, gag za gagiem - nie można się śmiać z czegoś, co właśnie miało miejsce, bo biegają już następne słowa i następne. Nie czujemy point, nie słyszymy dowcipów, więc nie mamy szansy się roześmiać. Jesteśmy skupieni na tym, żeby dowiedzieć się, jakie relacje zachodzą pomiędzy bohaterami i o co

w ogóle w tej sztuce chodzi. Aktorzy tak się spieszą, aby wypowiedzieć cały tekst, że zupełnie nie zostawiają nam czasu na zabawę. Pierwszy raz widziałem takie zjawisko - „Zemstę”, która nie rozśmiesza.

W drugiej części jest trochę lepiej - publiczność otrzymała kilka okazji roześmiania się i skwapliwie z nich skorzystała.

Być może reżyser wyszedł z założenia, że „Zemstę” zna każdy i nie ma potrzeby pokazywać na scenie, o co chodzi bohaterom, kto się mści, na kim i z jakiego powodu. Ale jeśli takie było założenie reżysera, to szkoda, że nie poszedł dalej. Bo jeśli rzeczywiście nie



ma sensu przedstawiać całego „mięsa” sztuki, może wystarczyłoby zademonstrować sam afisz teatralny? Patrzymy na afisz, kojarzymy numer dowcipu - i śmiejemy się do rozpuku.

To są uwagi starego malkontenta? Zawiedzionego, ponieważ spodziewał się czegoś innego? Aha, tak właśnie. Każdy przecież wie, że gdy na scenie występuje kabaret, to nawet mamy artysta kabaretowy daje człowiekowi szansę, żeby ten zrozumiał dowcip i roześmiał się, w odpowiednim momencie. Po to przecież napisano tekst w taki sposób a nie w inny: tu pointa, tam pointa. Słyszymy, widzimy, rozumiemy - śmiejemy się.

Zbyt szybko podawany tekst „Zemsty” oznacza karygodny brak możliwości śmiania się. Stanowi zresztą także i poważną przeszkodę w odbieraniu tzw. meritum. Aktorzy strzelają jak z karabinów maszynowych i w wielu wypadkach po prostu nie daje się usłyszeć, co mają do przekazania. Fredro jest trudny, tekstu sporo, czasu mało, więc i nie dziwota, że kompletnie nie rozumieliśmy, co mówią niektórzy bohaterowie (para najmłodszych, najslabszy duet aktorski w tej sztuce).

Reżyser, każąc aktorom ekspresowo podawać tekst sztuki, najwyraźniej zorientował się, że tekst stał się przez to mniej śmieszny. A że sztuka Fredry jest komedią, zaproponował nam coś w zamian – scenki kabaretowe, rodem z burleski i filmów ślapstikowych – pracujący mularze, pijany kucharz albo panna domowa – poświęcono im wiele czasu i miejsca. Udała się więc reżyserowi sztuka nie lada jaka: zamiast komedii słownej, mieliśmy spory kawał komedii sytuacyjnej.

W drugiej części spektaklu poszło lepiej. Scena pisania listu, kto wie, czy nie najśmieszniejsza scena w polskiej dramaturgii, wypadła poprawnie. Jest tak śmieszna, że bawi nawet w średnim wykonaniu, a to wykonanie okazało się dobre. Niezły był Waldemar Cudzik i jego Papkin, choć wobec tempa sztuki mało

się różnił od innych postaci – wszystkie ubrano w tę samą, pośpieszną konwencję. Michał Kula nie zawiódł w swojej kreacji krewkiego szlachcica, biegającego po scenie, rzucającego się w pasji i gniewie (Cześnik); nie zawiódł też rejent Milczek (Adam Hutyra). Rozbawiła nas Podstolina (Iwona Chołuj) i nawet postacie drugoplanowe, bo kto nie lubi filmów z Chaplinem.

Warto poświęcić nieco uwagi scenografii. Nie bardzo wiemy, dlaczego w takim małym stopniu wykorzystano przestrzeń sceniczną dużej w końcu sceny. Rzecz rozgrywa się na podeście zajmującym tylko kawałek tej przestrzeni i aktorzy rzadko wychodzą na proscenium, tłocząc się na małej powierzchni, z powodów do końca dla nas niezrozumiałych. Scenografia jest silnie umowna – kawałek muru, stół podzielony na połowę i niewiele więcej. Tak to zostało wymyślone, „Zemsta” jest przecież tak znana, że nie ma potrzeby stawiać rozbudowanych dekoracji, najważniejsza są relacje między ludźmi – mówili realizatorzy.

Zaciekawilo nas białe tło, za aktorami. Dzięki oświetleniu powodowało ono, że widzieliśmy cienie



Fotografie: Piotr Dłubak

bohaterów. Jednakże trudno nam określić, czy był to celowy zabieg. W pierwszej części, gdy to zobaczyliśmy, nawet nam się podobało, nadawało bowiem dodatkowy wymiar wszystkiemu co obserwowaliśmy na scenie. Szkoda tylko, że reżyser nie wykorzystał do końca tej niespodziewanej możliwości – przecież scena, gdy Papkin biega z drewnianą podstawką pod perukę (jak się nazywa taki rekwizyt?), na białej ścianie widzimy cienie żywcem z Szekspira – oto Hamlet z czaszką Yorricka. To dopiero byłaby komedia!

Parę słów o kostiumach i rekwizytach. „Zemstę” można pokazywać na rozmaite sposoby, oczywiście. Zaprezentowano nam stroje z epoki – kontusze, wysokie skórzane buty, pas słucki, trójgraniasty kapelusz, perukę Papkina, szablę u boku itp. Ale z wyraźnymi odniesieniami do współczesności: pod rozpiętym kontuszem Cześni-



ka widzieliśmy współczesny pasek do spodni, pod surdudem Wacława współczesny krawat, a mularze paradowali w takich samych wysokich skórzanych butach jak panowie szlachta. Niby drobna rzecz, ale z drobiazgową składa się nie tylko sztuka, ale i życie.

Być może, że po wyjeździe reżysera, aktorzy zwolnią tempo i tekst będzie podawany nieco wolniej. Ułatwi to percepcję młodej widowni, do której przecież jest adresowany, zaś wszystkim widzom umożliwi śmianie się tam, gdzie śmiać się powinni. Kilka minut luzu i pauzy w pierwszej części, kilka minut w drugiej, a będzie z tego zupełnie dobry, przyzwyczajony spektakl klasycznej sztuki. Pójdą na nią uczniowie szkół częstochowskich, pójdą mieszkańcy miasta i wszyscy będą bawili się jak najlepiej. Czego sobie i Wam życzymy.



Fotografie: Piotr Dłubak

KALINOGRANIE (o zjawisku Kaliny Jędrusik)

Wiesław Wyszynski

Z inicjatywy Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater”, przy współudziale Teatru im. Adama Mickiewicza, Muzeum Częstochowskiego, Ośrodka Kultury Filmowej i Biblioteki Publicznej im. dr. Władysława Biegańskiego, odbył się w dniach 15-17 lutego Festiwal Dobrej Piosenki im. Kaliny Jędrusik pod nazwą „Kalinowe noce, Kalinowe dni”. Wokół konkursu, do którego zakwalifikowano 25 uczestników, odbyło się wiele imprez towarzyszących, m.in. projekcje filmów z udziałem K. Jędrusik (OKF), koncert Grzegorza Turnaua i Jacka Królka, recital Magdy Umer – chrześnicy artystki, wystawy (biblioteka, muzeum). Grand Prix festiwalu zdobyła częstochowianka Anna Andrzejewska. Organizatorzy zapowiadają, że impreza wejdzie na stałe do kalendarza kulturalnego.

Kalina Jędrusik urodziła się 5 lutego 1931 r. w podczęstochowskim Gnaszynie (wówczas jeszcze nie będącym w granicach miasta) w rodzinie nauczycielskiej. Toteż już w domu odebrała staranne wykształcenie. Była skoligaconą z rodziną Witolda Lutosławskiego. Od najmłodszych lat marzyła o aktorstwie. W liceum urzekła ją proza Stanisława Dygata. I dopięła swego. Została aktorką (PWST w Krakowie) i żoną Dygata.

Zadebiutowała w 1953 r. na scenie Teatru Wybrzeże w „Barbarzyńcach” Gorkiego. Jej kariera nabrała tempa. W 1955 przeniosła się do Teatru Narodowego, potem był Współczesny, Komedial, STS, Rozmaitości, i u schyłku życia Teatr Polski. Zabiegało o nią radio, rodząca się telewizja i film. Publiczność ekscytował jej zmysłowy głos i nade wszystko seksapil. W latach sześćdziesiątych stała się uosobieniem seksu. Przygnały do niej przydomki (lub epitety) „wielkiej gorszycielki”, „demona zmysłów”. Jej imię jawiło się jako grzeszne libido, choć sama Kalina nie przystawała do epoki „małej stabilizacji”. Nie przystawała, bo nie znosiła przeciętności, mentalnego uniformizmu, w który ubierała nas ówczesna władza. Bo obrażała socjalistyczną (nie)moralność! Mimo że artystka wyznała kiedyś, jakoby była „skazana na wieczną drugorzędność”, to jednak zmieniała polską obyczajowość tamtych lat w sposób pierwszorzędny. Do tego stopnia, że naraziła się samej Zofii Gomułkowej. Bowiern sekretarzędową porażał dekolt Kaliny i krzyżyk pomiędzy krągłymi piersiami. Mówiło się, że „cycki Kaliny stały się tematem obrad Biu-



Laureatka Grand Prix - Anna Andrzejewska



ra Politycznego PZPR”. Ba! Listy protestacyjne na ręce towarzysza „Wiesława” słały zgorznione robotnice czerwonej armii zbawienia Rybnika i różnych zakładów im. Pawki Morozowa. Zrugał Kalinę i przywołał do porządku (uniformistycznego) prezes Radiokomitetu. To nie pozostało bez echa. Jej biogramy wspominają o trudnych momentach i zakrętach artystki. Zamykała się. Wreszcie poszła w tzw. estradę. A głos miała ustawiony znakomicie. Mimo to wielu krytyków traktowało piosenkarstwo Kaliny jako ekstrawagancję. Jednak po latach łezka wciąż w oku staje przy jej sentymentalnych piosenkach z Kabaretu Starszych Panów – szczytu wokalnych osiągnięć Kaliny Jędrusik. Zmarła 7 sierpnia 1991 roku.



Fotografie:
Leszek Pilichowski

Pozostała legendą, którą trudno (a może niepotrzebnie) oddzielać od prawdy. Prawdą jest, że gdyby się urodziła w innym miejscu lub czasie, byłaby z pewnością gwiazdą światowego formatu. U nas krytyka mówiła o niej: polska Marylin Monroe, Brigitte Bardot, Marina Vlady – co artystka przyjmowała z przymrużeniem oka, bowiem zawsze była autonomiczna. W mojej pamięci pozostanie zwierną mgielką z Kabaretu Starszych Panów i perwersyjną Lucy Zuckerową z „Ziemi obiecanej” Andrzeja Wajdy. Pięknie wyraziła się o niej Maja Komorowska: „Pan Bóg musi mieć tam w niebie dużo z nią kłopotów”. Życzę miastu również wielu „kłopotów” przy organizacji kolejnych festiwali im. Kaliny Jędrusik.

A swoją drogą, dlaczego mimo upływu 17 lat od śmierci słynnej rodaczki, nasze miasto nie uhonorowało jej imieniem żadnej z ulic, czy choćby i placu?



Trzy pytania

Pani inspektor śpiewa

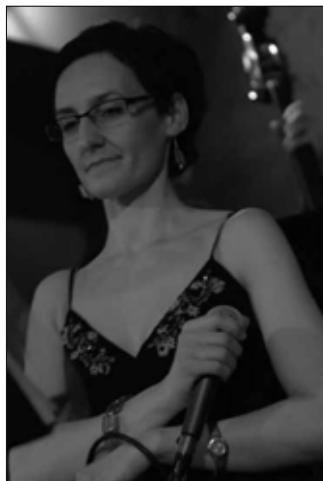
Jaka jest Justyna Królak na co dzień?

Justyna Królak: Na co dzień jestem zupełnie zwyczajną dziewczyną, jakich wiele w tym mieście. Mój rozkład dnia zaczyna się o 6,30 od porannej filiżanki kawy i, żeby wprawić się w dobry nastrój, zaraz po wyjściu z łóżka słucham muzyki, co polecam zresztą wszystkim, którzy mają problemy z porannym przebudzeniem. Poza tym, jeśli zaczyna się dzień przy np. „What a Wonderful World” Louisa Armstronga, to nie ma już znaczenia, że za oknem akurat szaleje wichura lub pada śnieg z deszczem. Żeby podtrzymać dobry nastrój słucham muzyki również w drodze do pracy, gdzie następnie 8 godzin poświęcam miastu Częstochowa i jego mieszkańcom. Od ośmiu lat pracuję bowiem w Urzędzie Miasta, w tym od czterech lat w Wydziale Planowania Przemysłowego. Nie będę opowiadać szczegółowo, na czym polega moja praca. Powiem tylko - bo wydawać się może, że praca urzędnika musi być śmiertelnie nudna - że bywa bardzo barwnie. Mam też w pracy radio, więc nie jestem pozabawiona kontaktu z muzyką. Popołudnia zazwyczaj również wypełnione są muzyką - czasem jest to próba z Januszem Sołtysikiem, często spotkanie z Lidką Pospieszalską, która pomaga mi w doskonaleniu warsztatu artystycznego. Lidka jest nie tylko bardzo dobrą wokalistką ale również wspaniałym pedagogiem. Jestem jej ogromnie wdzięczna, że znajduje wolną chwilę, aby poprawiać moje wokalne imperfekcje. Z Lidką spotykam się od mniej więcej roku, a ponieważ nigdy wcześniej nie kształciłam głosu, praca w tym zakresie wymaga wiele wysiłku i czasu; ale to ogromna satysfakcja, gdy po skończonym koncercie słyszysz od ludzi pytanie: a kiedy następnym? To jest dla mnie najlepsza recenzja. Częstochowa to w ogóle ciekawe muzycznie miasto i wiele się w nim dzieje, więc jeżeli sama nie występuję, to z przyjemnością idę na koncert kolegów. A w weekendy, jeśli nie ma koncertów, to można mnie znaleźć w kinie, w OKF oczywiście, ponieważ tam oglądam ciekawsze, ambitniejsze kino. Kiedy mam więcej wolnego czasu, lecę do Paryża. Od paru lat wyjeżdżam tam na każde wakacje. Tyle tam jest cudownych miejsc, gdzie można posłuchać dobrej muzyki, no i jest okazja, żeby porozmawiać w pięknym języku francuskim.

Parafrazując tytuł przedwojennego filmu „Pani minister tańczy”, można powiedzieć, że pani inspektor śpiewa. Dlaczego właśnie jasz?

To była Tola Mankiewiczówna, pracująca, o ile się nie mylę, w Ministerstwie Obrony Moralności. Faktycznie tak jest - pani inspektor śpiewa. Ale nie jestem

jedyna w magistracie, która po pracy realizuje artystyczne czy inne pasje - koledzy urzędnicy spełniają się jako fotografowie (Adam Markowski, Radek Majer), Jarosław Kapsa jest znanym felietonistą i dziennikarzem; w tak licznej grupie zawsze znajdują się ludzie z powodzeniem rozwijający swoje talenty. Muzyka towarzyszy mi od dziecka, pochodzę z rodziny, gdzie była ona zawsze obecna. Dziadek i Tato byli organistami, brat studiował trąbkę, a ja biegałam do ogniska muzycznego na fortepian, który niestety zbyt wcześnie porzuciłam, czego dzisiaj bardzo żałuję. Śpiewanie natomiast zawdzięczam różnym dziwnym zbiegom okoliczności. Tuż przed maturą, pełnym przypadkiem trafiłam na Festiwal Piosenki Młodzieżowej w Jarocinie. Weszłam na scenę praktycznie z marszu. Zaśpiewałam wtedy „Małe tęsknoty” i „Wielką zimę” Krystyny Prońko i wygrałam nagrodę - możliwość nagrania płyty w firmie fonograficznej w Poznaniu. Z płyty, jak to w życiu bywa, nic nie wyszło - wybrałam sobie mało komercyjny piosenki, ale materiał nagrany w studiu został. Dziś chce mi się śmiać, jak słucham siebie, „z tamtego okresu”. Nawet znajomi nie są w stanie uwierzyć, że to ja. Ale ten festiwal był moim pierwszym spotkaniem z piosenką na scenie. Pamiętam, że zastanawiałam się, czy nie zacząć myśleć poważnie o śpiewaniu. Niestety, brakło mi odwagi. Potem bardzo długo muzycznie nic się nie działo, poza śpiewaniem na tak zwanych chałturach, bo przecież trzeba było z czegoś utrzymywać się na studiach, choć nie jest to wcale tak łatwe zajęcie, jak mogłoby się wydawać. Następnym, szczęśliwym zbieg okoliczności, który zbliżył mnie do



etapu, na którym dziś jestem, pojawił się po studiach. Ponieważ zaczynałam moje wykształcenie od filologii romańskiej, dzięki znajomości języka francuskiego trafiłam do hotelu Ibis, który poszukiwał kogoś, kto mógłby zaśpiewać parę piosenek po francusku na odbywającej się tam raz w roku imprezie - otwarciu sezonu Beaujolais Nouveau. Śpiewałam tam samą klasykę piosenki francuskiej: Piaff, Aznavour, Greco, Brel, Bressens, i innych. Następnego roku, tuż przed imprezą w Ibisie, mój kolega akompaniator zostawił mnie, jak to się mówi, na lodzie, a ja, ponieważ podpisałam już umowę z hotelem na obsługę muzyczną imprezy, musiałam natychmiast znaleźć akompaniatora. Zadzwoniłam z prośbą o pomoc do Stowarzyszenia Jazzowego w Częstochowie, którego prezesem był wtedy Wojtek Puszek, i który skierował mnie do Janusza Sołtysika, za co losowi jestem bardzo wdzięczna. To Janusz nakłaniał mnie do śpiewania i odważyłam się zacząć śpiewać standardy jazzowe. A dlaczego właśnie jazz? Po pierwsze dlatego, że od dziecka interesował mnie właśnie ten gatunek muzyki. Słuchałam i staram się słuchać różnych jej gatunków. Już jako mała dziewczynka, wtedy gdy koleżanki słuchały Majki Jeżowskiej, ja byłam zaślucha w piosenkach Grażyny Łobaszewskiej, Ewy Bem czy Krystyny Prońko. Tak jak interesowali mnie ludzie o duszy, której nie da się niczym ograniczyć, tak samo jazz urzekał i urzeka mnie właśnie tym, że czuje się w nim, dzięki improwizacjom, pewien rodzaj niczym nie ograniczonej wolności. Improwizacje natomiast wymagają naprawdę dużej sprawności technicznej. Jest więc to gatunek muzyki, który ma duszę a jednocześnie wymaga dużego oddania i zaangażowania.

Z jakimi muzykami już występowałaś i jakie są Twoje plany na przyszłość; co zaprezentujesz na swojej pierwszej płycie?

Mój udział na częstochowskiej scenie jazzowej nie jest na razie bardzo bogaty, ale mam nadzieję, że będzie się to zmieniać. Mam za sobą trzyletnią współpracę z Januszem Sołtysikiem i pojedyncze koncerty z udziałem Wojtka Puszkę czy też reprezentantów tzw. młodej sceny jazzowej: Romka Tyrama, Michała Walczaka, Przemka Pacana. To są nie tylko

bardzo dobrzy muzycy, ale również przesympatyczni ludzie. Miło jest pracować z tak zycziwymi osobami. A moje plany na najbliższą przyszłość? Hm... środowisko podjasnogórskiego jazzu jest bardzo dynamiczne i łatwo miksujące się, dlatego oprócz stałych zespołów powstaje wiele grup ad hoc na jeden projekt, czy nawet jeden koncert. Mam nadzieję, że uda mi się na trwale wpisać w takie improwizowane wydarzenia a równocześnie pracować będę nad własnym repertuarem. Co do płyty, to sądzę, że powoli dojrzewam do tego pomysłu. Ale jak wszyscy wiemy, jest to przedsięwzięcie dość kosztowne i czasochłonne. Chodzi mi po głowie pomysł aranżacji standardów piosenki francuskiej, tych starszych, jak i tych bardziej aktualnych, uzupełnionych klasyką jazzową. Na razie jest to jeszcze dość mgławicowy koncept. "With A Little Help From My Friends" - ale z pomocą przyjaciół - kto wie? Bez wątpienia jest to zamierzenie, które będzie wymagało wielu przygotowań, solidnego montażu muzycznego i finansowego, jak też zaleszenia sponsorów i grupy muzyków, którzy chcieliby zaangażować swój talent i czas w takie przedsięwzięcie, no i przede wszystkim mojej pracy nad własnym warsztatem. A jest jeszcze wiele do zrobienia. Mam jednak nadzieję, że przy odrobinie szczęścia i dużym nakładzie pracy może uda się wydać płytę, która byłaby również okazją do pokazania, że Częstochowa liczy się na jazzowej mapie Polski. Mamy tutaj przecież tylu wspaniałych muzyków. Miło byłoby, gdyby cały świat ich usłyszał.

Dziękuję za rozmowę.

*Wysłuchał i fotografował
Zbigniew Burda*



Tadeusz Gieryski

Pamięć przez mgłę

Ten świat, w którym teraz żyję, jest mi coraz bardziej obcy, nieprzyjazny, groźny. Tak chyba zwykle bywa z upływem czasu, lat... Jestem jak ryba wyrzucona z rzeki na suchy brzeg. Inny świat, inni ludzie, ich zachłanność na pieniądze, bezprzykładny hedonizm, nieliczenie się z moralną, etyczną stroną życia, gdzie „mieć” dominuje nad „być”, gdy dzieci zabijają matki, a ojcowie dzieci. Taka moralność społeczeństwa, wśród którego rosnę, jest dla mnie przerażająca. Nic dziwnego, że uciekam do przeszłości, do dzieciństwa i młodości...

Płońsk, Warszawa, Chotyłów Podlaski, Nieszawa, Skierniewice – to stacje mojego dorastania. Wagony kolejowe odstawione na bocznicze były terenem moich zabaw. Pod ich spodem, w różnych metalowych i drewnianych zakamarkach, znajdowałem ptasie gniazda, a w nich jajeczka. Każde wytropione gniazdko sprawiało radość.

To było we Nieszawie, gdzie przeżyłem wczesne dzieciństwo, sielskie – anielskie. Od stacji kolejowej do miasteczka nad Wisłą było około 5 kilometrów. Do szkoły powszechnej zacząłem więc chodzić o 2 kilometry bliżej, mianowicie do Wagańca, wsi folnarskiej. Cała dorosła jej ludność pracowała w pobliskim majątku Bacciarellich: służba pałacowa, ogrodnicza, najemnicy rolni. W pałacu byłem tylko raz. Potomkowie sławnego malarza mieli pięć córek. Najmłodsza przebywała w bursie we Włocławku i chodziła do gimnazjum prowadzonego przez siostry zakonne. Tam też uczęszczała moja starsza siostra. Koleżanki w szkole, poza którą dzieliła je wielka różnica klasowa: córka magnata i córka urzędnika państwowego. Ale kiedyś siostra została zaproszona do pałacu. Zabrała mnie ze sobą. Kolorowo ubrany lokaj, pokojówka, a potem olbrzymi salon, wokół krzątanek, obrazy, kandelabry, stylowe meble... Pomyślałem, że jestem w kościele. Całkiem odwrotnie rzecz się miała z moją pierwszą szkołą. Obejmowała jedną izbę lekcyjną i drugą, maciupką, gdzie mieszkala nauczycielka. W tym pierwszym pomieszczeniu trzy rzędy ławek: każdy rząd – inna klasa. Po dwóch latach dojeżdżałem już do prywatnej szkoły im. M. Kopernika, pociągami.

Ale wracam do Nieszawy. Któregoś letniego dnia poszliśmy z siostrą do miasteczka, 5 kilometrów od stacji PKP, gdzie mieszkaliśmy. Najpierw wykapałem

się w Wiśle, tj. wymoczyłem się w złoto-srebrnym piasku (miałem wówczas trochę ponad sześć lat). I wtedy przykleiłem się pod moimi powiekami obraz, jaki noszę do dziś: napierająca, pienisto-świecista tafła wody, co niesie na swym grzbiecie tratwę zbitą z pni drzew. Flisacy. Na środku tratwy ognisko. Do brzegu dochodził śpiew.

Innym razem pojechaliśmy autobusem, który raz dziennie dowoził pasażerów z pociągu do miasteczka nad Wisłą. Siostra miała za zadanie szkolne napisać reportażyk z pobytu w domu Ferdynanda Ossendowskiego, pisarza i podróżnika. Kilka lat później przeczytywałem się w „Płomiennej Północy”, w książce „Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów” i innych pozycjach podróżniczych i przygodowych. Pisarza w domu nie było, wyjechał do Afryki, jak się dowiedzieliśmy od gospodyni domu. Z wizyty tej zapamiętałem jeden szczegół: duży zegar ścienny wskazujący kwadrans po jedenastej. Była to godzina wyjścia Ossendowskiego z domu i wyjazdu do Maroka i Tunisu.

Nieszawa, a właściwie dworzec kolejowy i zielone okolice, to apogeum moich dziecięcych zabaw, wariactw, podchodów, psot i figli. A teren był wspaniały: szeroki, pagórkowate przestrzenie, park z wysokimi drzewami, pola buraczane, stawy, sadzawki, gliniarki i stojące na bocznicach kolejowych wagony PKP. By odpocząć, wdrypywałem się na jakieś drzewo, robiłem tam z gałęzi (oczywiście latem) gniazdo i czułem się wysmienicie. Gdy zacząłem chodzić do szkoły, czas zabawowych szaleństw się skrócił. Zwłaszcza zimą, kiedy musiałem dziennie, po śniegu, przechodzić około 10 kilometrów. A bywało, że śnieg sięgał do kolan. Często odprowadzała mnie matka albo pies. Był to wielki wilczur wabiący się As. I mądry. Torował mi drogę w śniegu. Rodzice wysyłali Asa z domu po mnie do szkoły. Przybiegał i czekał, aż wyjdę z budynku. W końcu zginął pod kołami pociągu. Rodzice uśmiecili się smutno, mówiąc: nie chciał dożyć starości...

Jeszcze jeden charakterystyczny obrazek z tamtego czasu. W zimowy poranek szedłem do szkoły, zadyмка śnieżna tamowała mi oddychanie. Nagle w zaćmie śnieżnej zobaczyłem sylwetkę człowieka. Szedł, z trudem dźwigając na plecach coś w rodzaju skrzynki z wystającymi przedmiotami. W obu rękach niósł dodatkowe pakunki. Obladowany jak wielbłąd, a tu tumany śniegu i śliska droga. Na drugi dzień mieliśmy seans filmowy w szkole. Na ścianie powieszono białe płótno, zaś aparat filmowy znajdował się na końcu izby. Przy aparacie, w wymiętym, brudnym, ale jasnym swetrze, stał spotkany w zadymce śnieżnej „operator”. Zaczęło się filmowanie. Operator kręcił korbką, na ścianie ukazywały się krótkie filmiki Chaplina. Obrzucanie się tortami i inne gagi powo-

dowały u dzieci niezwykłą wesołość. Z dzisiejszej perspektywy myślę, że – oprócz mnie – nikt z całej szkoły nigdy wcześniej nie był w prawdziwym kinie.

Po dwóch latach szkoły w Wagańcu zacząłem dojeżdżać na naukę do Włocławka. Pociągami. Z tamtych lat utrwaliły mi się w pamięci dwa wydarzenia. Pierwsza komunია święta, którą przyjęliśmy z rąk biskupa. Nazwiska duchownego, naturalnie, nie pamiętam. Drugim wydarzeniem był Złot Młodzieży z całej Polski w Toruniu, w roku 1937. Na tę uroczystość prywatna szkoła we Włocławku (im. Mikołaja Kopernika, obejmująca podstawówkę, gimnazjum i liceum) przygotowała barwną i strojną inscenizację uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Ja byłem polskim leczę sfrancuziałym szlachcicem w peruce, jedwabnym żabocie z koronkami, białych pończochach, stylowych pantoflach... Przedefiladowaliśmy tak przed trybuną, na której wśród generałów stał sam marszałek Rydz – Śmigły. Jak pamiętam, tyśa głowa bojowo błyszczała mu w słońcu... Uczniowie licealni, w rodzimych polskich strojach z epoki, nieśli na barkach króla Stanisława Poniatowskiego. Wszyscy krzyczyliśmy: *vivat rex!* Wówczas też jadłem po raz pierwszy wyborne pierniki toruńskie.

Ów świat przedwojenny widzę jak przez mgłę. Przykrywa go bowiem okupacja niemiecka i okres totalitaryzmu komunistycznego. Dwie kolejne epoki. A żyję w trzeciej.

W ostatnie dni sierpnia, na bezchmurnym niebie pojawiły się białe smugi ciągnące się za samolotami. Polskimi, francuskimi, czy niemieckimi? Okazało się wkrótce, że to hitlerowska Luftwaffe penetrowała obszar Polski. Ja w owym czasie nie myślałem dużo o zbliżającej się szkole. Ogarnęła mnie gorączka zbliżającej się wojny. Na wieży ciśnieniowej, z której parowozy pobierały wodę, stał ciężki karabin maszynowy. Po torach sunęły pociągi wylądowane wojskiem i sprzętem bojowym. Przy dworcu PKP kopano rowy przeciwlotnicze, zaś okna w mieście zaklejano na skos paskami papieru.

Byłem rozgorączkowany i, na swój sposób, wciągający w wir przygotowań wojennych. W zerwcu z zucha zostałem harcerzem. Złożyłem przyrzeczenie i wkrótce, po nocnym i samotnym biwakowaniu w lesie, otrzymałem pierwsze sprawności. Ostatnie dwie noce sierpnia też prawie nie spałem, roznosząc stojącym na torach transportem wojskowym gorącą kawę, suchary, cukier w kostkach. Rodzice natomiast dali już wcześniej na Fundusz Obrony Narodowej część swojej biżuterii. Tak czynili prawie wszyscy. Patriotyzm w okresie Dwudziestolecia był ogromny, lecz był też uczuciem zupełnie naturalnym. Dotyczyło

to zwłaszcza ludzi młodych, nawet dzieci. W szkole więcej niż dzisiaj lekcji śpiewu o treściach legionowych, powstańczych, harcerskich. Patriotyzm w nas, młodzieńskich chłopcach, był częścią krwioobiegu. Mierniki jego było łatwo określić: obrona uzyskanej przed 20 laty niepodległości państwa, zagrożonego teraz przez Niemcy. Sam romantyczny patriotyzm, wiara w słuszność hasła „zwarci, silni, gotowi”, nie mógł być przeciwnikiem dla potężnej maszyny wojennej hitlerowskich Niemiec. Hasło przekonywało mnie w zupełności. Naiwny, pragnąłem wojny i odebrania Niemcom Królewca!

Drugiego lub trzeciego września zawyły w mieście syreny: nalot bombowy. Nie zdążyliśmy pobiec do kamiennej piwnicy na końcu ogrodu, która była naszym schronem. Na szczęście! Bowiem bomba uderzyła akurat w piwnicę. Pojąłem wówczas tę prawdę, że od przypadku zależy czasem ludzkie życie. Gdybyśmy zdążyli dobiec do schronu... Niemcy bombardowali tory, wagony, parowozownię, lecz oszczędzali budynek stacyjny, pewni, iż wkrótce i tak zajmą miasto. Toteż mój ojciec (zawiadowca stacji) był bezpieczny, choć o tym nie wiedział. Po nalocie wyszedłem z domu. Okropny widok: paliły się okoliczne budynki, szyny kolejowe wyrwane z torów, wygięte jak w konwulsji, olbrzymie leje po bombach i martwe ciała. Patrząc na nie czułem po raz pierwszy w życiu, jak kruche i śmiertelne są ludzkie istoty i że wojna to nie zabawa ołowianymi żołnierzkami.

Następnego dnia ojciec wywiózł całą naszą rodzinę na wieś, do Mokrej. Codziennie nad naszymi głowami przelatywały eskadry samolotów z krzyżami na skrzydłach. Na wieś spadło kilka bomb, spłonęło jedno gospodarstwo. W Mokrej przebywaliśmy do czasu wkroczenia Wehrmachtu, a właściwie kilka dni dłużej. Lęk przed bombami wciąż nas trapił. Zbudowaliśmy w jakimś rowie na polu schron przykryty deskami i ziemią. Tam spędzaliśmy większość dnia. Odpoczynkiem była noc, nalotów wtedy nie było.

Pamiętam dwa wydarzenia. Dramatyczne pozegnanie ojca z nami, który z zupełnie unieruchomionej stacji wyjeżdżał do Warszawy. Płacz i łzy. Opowiadał potem, że ze Skierniewic odjechał do Warszawy, z jakąś grupą wojskowych, pociągiem pancernym. Nie dojechali, Niemcy byli już w Żyrardowie, droga do stolicy była odcięta. Po powrocie do domu opowiedział coś, co trochę osłodziło nam gorzyc widocznej klęski, ogólnego rozprzeżenia, paniki, co nawet ja widziałem oczami dziecka. Pociąg pancerny. Był nalot nurkujących samolotów, gwałtowny, ale bez trafień. Wysoko pozostał tylko jeden aeroplan. Krążył, ledwo widoczny. Odkryto działko przeciwlotnicze. Padł jeden strzał i samolot runął na ziemię daleko od torów.

WSPOMNIENIA

Mijały dwa tygodnie wojny. Nad nami wciąż przelatywały niemieckie eskadry, kierujące się w stronę Bzury. Wsi nie bombardowano, ostrzeliwano wyłącznie z karabinów maszynowych i zrzucono ułotki. Znalazłem jedną. Niemcy zapewniali, że klasztor jasnogórski stoi cało i nie był bombardowany.

W tych dniach byłem też świadkiem bardzo romantycznego i patriotycznego widoku. Około kilometra od wsi był las. Mówiono, że w okolicach Skiernewic są już Niemcy. Ale las był ostatnim miejscem, w którym wróg mógł być. Nagle zobaczyłem wśród drzew migotanie, cienie. I z ciemnej ściany boru wybiegają konie z jeźdźcami. Ależ tak! To nasza kawaleria! Ułani! Pędzili kłusem od lasu przez pola. Jak na defiladzie: dwójkami, proporzycy na lancach, karabinki na plecach – jak napisałem po latach w wierszu „polscy ulani z wyciągniętymi szczykami lecące żurawie / w swym szaleństwie, legendzie, zachodzącej sławie”. Jechali w dwóch szeregach, w ordynku, w niezmiętych mundurach, jakby dopiero co wyszli z koszar...

Po dwóch, trzech dniach zobaczyłem nie żołnierzy na koniach, lecz na motocyklu, dwóch przedstawicieli Wehrmachtu. Jechali wolno, rozglądając się wokół. Niemiec w przyczepie trzymał pistolet. Po zmotoryzowanej szpicy przeszło kilka czołgów, a potem wieś załala piechota. Zaczęła się pięcioletnia okupacja. Pozostaliśmy jeszcze kilka dni na wsi. Żołnierze Wehrmachtu zachowywali się przyzwyczajenie. Na podwórzu gospodarza stała akurat kuchnia polowa, rozdawano jedzenie również

Polakom. Odmówiłem poczęstunku. Nie pozwalał mi na to honor harcerza. Dla mnie każdy Niemiec był wrogiem. Przygnębiające wrażenie wywarł widok polskich żołnierzy, którzy szli do niewoli przywiązani drutem do niemieckich armat, moździerzy. Szokujący widok dla dziesięcioletniego chłopaka, który jeszcze przed dwoma tygodniami był pewny, że Polacy wkrótce będą w Królewcu, a może i w Berlinie. Z tej naiwności leczyłem się przez pięć lat okupacji.

Tadeusz Gieryski



Wycieczka do Ciechocinka – rok 1938

Kościół w polu ¹

Władysław Ratusiński

Wies skupiona po obu stronach szosy łódzkiej, która na tym odcinku nosi nazwę ulicy Ludowej. Kiedyś, gdy się do owej wsi wchodziło, uderzała charakterystyczna woń obornika, krowy chodziły drogą, pola ciągnęły się długimi wstęgami po równinie i łagodnych wzgórzach. Później ta okolica była znana ze szklarni, w których uprawiano kwiaty i warzywa, zwłaszcza modne naówczas goździki. Kiedrzyn jest już od lat dzielnicą Częstochowy. Kiedrzyńska parafia, decyzją arcybiskupa metropolity, została podzielona. Z pierwotnej, pod wezwaniem św. Andrzeja Boboli, w 1997 r. wyodrębniono właśnie parafię św. Brata Alberta.

Pola jeszcze w Kiedrzynie zostały. Jest szkoła, przedszkole, straż pożarna, sklepy i poczta. Rozwija się stadnina „Lambada”, gdzie uczą jazdy konnej, organizują wyścigi. Pracują warsztaty ślusarstwa i kowalstwa artystycznego, specjalizujące się w wytwarzaniu kutych bram i balustrad. Działają gospodarstwa uprawy roślin ozdobnych oraz hurtownie kwiatów i szkółki. Jedną z nich, jak donosi miejscowa prasa, stała się ośrodkiem praktyk rodem z wieśni indyjskich.

Rozbudowuje się Kiedrzyn, nowe domy powstają wzdłuż uliczek odchodzących od głównej szosy. Pozostało jeszcze trochę starych malowniczych domostw. Na posesji przy ul. Sejmowej, przeświecająca w głębi parku na końcu długiej alei potężnych robinii, lip i okazałych brzoź, taki stary dom, właściwie dwór, choć jego dworski charakter został mocno zatarty – jest klasztorem sióstr adoratorek Krwi Chrystusa. Dom przekazała siostrom właścicielka, pani Morawska, gdy szukały miejsca dla siebie, zaś one opiekowały się nią do końca jej życia. Historię tę wspomina dr Aleksander Jaśkiewicz, który właścicielkę znał i odwiedzał, a po jej śmierci, zgodnie z jej wolą, przejmował obrazy i inne przedmioty do Muzeum Częstochowskiego.

Widoczny z daleka latający spodek osiadł wśród pól Kiedrzyna, gdzie kicają zające, z miedzi podrywają się kuropatwy, a kolorowe bażanty skrzecząc podchodzą pod okna.

O kościele św. Brata Alberta – Adama Chmielowskiego warto napisać właśnie teraz, gdy autor pierwszorzutu budowlę w Brasiliu (takie skojarzenie, mimo wszelkich różnic, narzuca się samo), Oscar Niemeyer,



Proboszcz jest zafascynowany pięknem konstrukcji. „Gdzie my mieliśmy oczy?” - napisał w kronice parafialnej. Najchętniej jeszcze teraz zmieniliby całość budowli, zdejmując pokrycie dachowe i ukazując częstochowską wieżę Eiffla. (Fotografia z okresu budowy kościoła)

obchodzi stułecie urodzin. Kościół kiedrzyński wygląda bowiem jak parafraza owego słynnego dzieła architektury. Można by w tym nawet dostrzec analogie do dawniejszych epok: renesansu i baroku, gdy w Polsce powstawały obiekty sakralne nawiązujące do konkretnych świątyń Italii, choć z indywidualnym, miejscowym piętnem. I, trzeba przyznać, oryginalnie wpisuje się ten kościół w na wpół wiejski krajobraz dzielnicy Częstochowy, nie tak dawno jeszcze oddzielnej wsi. Będzie się też dobrze komponował z powstającymi wokół domami jednorodziennymi, choć przewidywano przecież w czasie budowy, że zaistnieje w dużym, 30-tysięcznym osiedlu bloków.

Proboszcza znam od wielu lat. Zawsze taki sam, o sympatycznej powierzchowności, bezpośredni w rozmowie, pełen energii i zapału; widać, że mu na domu Bożym bardzo zależy. Daje się też zauważyć żywa więź między parafianami i proboszczem. Pierwsze nasze spotkanie miało miejsce w bardzo artystycznych okolicznościach. Ksiądz Zdzisław jechał właśnie z Kiedrzyna na Jasną Górę, a ja siedziałem na poboczu ulicy Łódzkiej, blisko rogu ulicy Sikorskiego i malowałem częstochowski pejzaż z jasnogórskim klasztorem, wielkimi malowniczymi domkami, które zbiegały się ku Rynkowi Wieluńskiemu i starymi drzewami przy szosie.

Bo też ksiądz parafiałowi Zdzisławowi Hatlapie, proboszczowi w Kiedrzynie, nieobca jest sztuka. Sam malował, uczęszczał na kurs rysunku, zna się na sztuce i architekturze sakralnej, ma znajomości w środowisku artystycznym, przyjaźnił się ze znanym malarzem Jerzym Pogorzelskim. Kieruje też od lat wydziałem Kurii zajmującym się sprawami budownictwa sakralnego i sztuki kościelnej. Warto tu również przypomnieć jego udział, wraz z Aleksandrem

¹ Artykuł Stanisława Pośpieszalskiego pod takim samym tytułem ukazał się w nr 50 „Niedzieli” w 1983 r.

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY



Święcone, 2008

Fot. Leszek Pilichowski

Jaśkiewiczem, w powstaniu filmu o drewnianych kościołach ziemi wieluńskiej. A gdy w Muzeum Częstochowskim przygotowywana była wystawa monograficzna Wandy Wereszczyńskiej i wydawnictwo jej poświęcone – spowodował, że w kościołach archidiecezji czytano komunikat Kurii Metropolitalnej z apelem do posiadaczy obrazów i pamiątek po artystce o ich udostępnienie na wystawie.

Wezwanie kościoła ma więc swoje głębokie, także osobiste, uzasadnienie. A pamiętam proboszcza jeszcze z czasów, gdy mieszkał w starym domu – plebanii, przy niedużym kościele św. Andrzeja Boboli, przerobionym z remizy strażackiej, naprzeciw krytej gontem kapliczki. Przed kościołem, na rozwidleniu dróg, pozostał wojenny grób. Na starym zdjęciu uśmiechnięta twarz lotnika. Porucznik Michał Brzeski zginął w pierwszych dniach września 1939 roku.

Tej plebanii już nie ma, powstaje tam nowy kościół. A ksiądz Hatlapa wznosił wśród pól dużą piękną świątynię, o współczesnej formie architektonicznej, w kształcie rotundy, z przestronnym wnętrzem. Projektantem kościoła został architekt Aleksander Holas z Lubonia k. Poznania. Słowo “wznosił” w odniesieniu do proboszcza nie jest bynajmniej grzeszciością formułą i nie oznacza tylko troski gospodarza i inwestora – lecz również artysty. I to jest widoczne, gdy się wejdzie do środka. Ale o tym dalej.

Dla porządku wypada najpierw słów parę poświęcić patronowi młodej parafii, choć jest on osobą bardzo znaną, w świadomości polskiej głęboko zakorzenioną jako nieomal symbol. Adam Chmielowski, powstaniec styczniowy, malarz, krytyk i teoretyk sztuki. Niektóre jego obrazy można oglądać w Muzeum Narodowym krakowskim i warszawskim. Znane są dzieła pełne nastroju, o dużych wartościach malarzkich koloru i światła, wyciszone, skupione, głębokie. Ogród miłości, We Włoszech (Cmentarz włoski I), Szara godzina (Cmentarz włoski II)... Najbardziej

znane w kontekście religijnym, “Ecce Homo”- Chrystus przed Piłatem² zajmuje w jego twórczości miejsce szczególne, stanowiąc świadectwo wewnętrznych przeżyć z czasu, gdy w artyście przeważało jego drugie powołanie. I choć artysta pozostawił twórczość na rzecz życia z ubogimi i dla ubogich w założonym przez siebie zgromadzeniu zakonnym – to przecież jest patronem artystów. Jego życie wywarło wielki wpływ na Karola Wojtyłę, czemu dał wyraz, poświęcając mu dramat “Brat naszego Boga”; jako papież beatyfikował go i kanonizował, a o tym wpływie jasno napisał pod koniec życia w autobiograficznej książce “Dar i tajemnica”.

Wybór patrona parafii łączył się też z zamierzeniami proboszcza, aby uczynić z kościoła w polu żywy ośrodek artystyczny. Przewidział miejsce na ekspozycję sztuki. Trzeba przypomnieć wystawę rzeźb Józefa Pyrza z Paryża, autora oryginalnych drewnianych figur apostołów w katedrze częstochowskiej. Warto do tej idei wrócić. Choć marzenie o ośrodku spotkań artystycznych dotąd się nie ziściło, może ze względu na jednak dość odległe od centrum miasta położenie – to przecież wyczuwa się tu ducha artystycznego.



Fot. Zbigniew Burda

Po tym wstępie - rozmowa z proboszczem, ks. paratem Zdzisławem Hatlapą.

Władysław Ratusiński: Jak doszło do powstania tego kościoła i skąd się wzięły inspiracje akurat niemeyrowskie?

Ks. Zdzisław Hatlapa: Parafia od początku swe go istnienia nie posiadała kościoła. Utworzona w październiku 1940 r., w czasie okupacji, przez ks. biskupa Teodora Kubinę, wydzielona z parafii św. Zygmunta,

² Kopia tego obrazu, pędzla Jarosława Kweclicha, znajduje się w kiedrzyńskim kościele)

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY



Władysław Ratusiński - *Pejzaż z kościołem*

początkowo organizowała duszpasterstwo w zabytkowej kapliczce drewnianej, zbudowanej nielegalnie w końcu XIX w. jako wyraz patriotyzmu lokalnej społeczności. Kronika parafialna przekazuje nam dużo ciekawych wiadomości z tego okresu. Po kilku tygodniach pierwszy proboszcz, ks. Stanisław Szeja i miejscowe społeczeństwo przystosowali remizę strażacką do potrzeb liturgicznych. Taki stan utrzymał się aż do roku 1978. Realia polityczne tamtego okresu nie pozwoliły na budowę kościoła w Kiedrzynie. Po wydarzeniach w październiku 1956 r. drugi proboszcz, ks. Józef Szewczyk, poczynił starania o projekt kościoła, który miał być zbudowany w tym miejscu, gdzie obecna kaplica (dawna remiza). Skończyło się tylko na projekcie, który znajduje się w archiwum Kurii. Protokoły wizytacyjne dziekana i biskupów zawsze wskazywały na wielką potrzebę budowy kościoła w Kiedrzynie. W 1977 r. III proboszcz, ks mgr Teodor Wiśniowski, już był „zmuszony” do podjęcia starań u władz administracyjnych o pozwolenie na budowę kościoła. W tym czasie trwała już budowa kościoła św. Wojciecha i ta okoliczność pomogła w uzyskaniu zezwolenia. O szczegółach już nie będę mówił, chociaż są bardzo ciekawe. 17 czerwca 1978 r. ówczesny wojewoda częstochowski, dr Mirosław Wierzbicki, udzielił zezwolenia na budowę kościoła w Kiedrzynie. Do budowy kościoła, na prośbę ks. proboszcza Teodora Wiśniowskiego, ks. biskup Stefan Bare-

ła przysłał mnie. Trochę znalazłem tę parafię z lat 1962-3, bowiem byłem tu pierwszym wikariuszem w historii parafii. Problemem stała się lokalizacja wskazana poza Kiedrzynem, na Józefce, 9 marca 1979 r. jako ostateczna. O zawitościach związanych z tą sprawą nie będę już opowiadał. Parafianie przyjęli ten fakt z wielkim niezadowolaniem. Tłumaczyłem jednak, że na ludzkich krzywych liniach Pan Bóg pisze prosto.

Wspominam te okoliczności, bowiem one decydowały o wielkości i charakterze tej świątyni. Na tych terenach miało powstać osiedle Północ II, w którym miało mieszkać ok. 30 tys. ludzi. Kościół zbudowany na skraju tego osiedla miał również objąć opieką duszpasterską całą parafię, a więc mieszkańców Kiedrzyna, Woli Hankowskiej, Woli Kiedrzyńskiej i Wierchowiska. Parafia miała liczyć w niedalekiej przyszłości ok 35 tys. mieszkańców. Dla takiej parafii podjęto projektowanie kościoła. Kłopoty były ze znalezieniem projektanta. Tego dzisiaj już nikt nie zrozumie i dlatego pomijam ten problem. Z ks. Leonem Stasińskim, przewodniczącym Komisji Architektury Sakralnej Kurii Diecezjalnej w Częstochowie, odwiedziliśmy budowany kościół św. Maksymiliana w Kominie. I tak „znaleźliśmy” architekta, Aleksandra Holasa z Lubonia k. Poznania, który miał uprawnienia państwowe, a nie był uzależniony od żadnego biura państwowego. Po kilku odbytych spotkaniach z architektem doszło do porozumienia. Nie było to trudne, bowiem dokumenty kościelne po II Soborze Watykańskim i coraz bardziej ujawniająca się prawda, że Kościół jest wspólnotą, gromadząca się wokół stołu na Eucharystię, doprowadziły nas do takiej koncepcji kościoła. Oscar Niemeyer może trochę „pomógł”. Architekt jednak kategorycznie temu zaprzeczał, wskazując na zasadnicze różnice. I miał rację. Proszę porównać i rozważyć te różnice. Wspólny jest tylko plan zabudowy. Idea ta sama: Kościół jest wspólnotą przy STOLE – OLTARZU. Kościół został pomyślany



Fot. Zbigniew Burda

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

jako namiot oparty na 8 potężnych wiaźarach, zwieńczonych u góry koroną

WR: *Jeśli już miałbym do czegoś zastrzeżenia, to do białej okładziny we wnętrzu. Nie znoszę sidingu, a to siding przypomina. W każdym razie jest to jakieś sztuczne tworzywo. Ale muszę powiedzieć, że tu akurat mnie nie razi. Ten pomysł księdza był podyktowany względami technicznymi i eksploatacyjnymi?*

Ks. ZH: Zastrzeżenia co do białej okładziny we wnętrzu są słuszne. Siding we wnętrzu kościoła to okropność. Tutaj się znalazł jako rozpaczliwe tymczasowe kształtowanie wnętrza z powodów przede wszystkim finansowych. Gdyby ktoś miał kłopoty z wiarą, to proszę zauważyć, że wiara czyni cuda. Tak wielki kościół w polu budowała parafia licząca 3 tysiące wiernych. A od 1997 r. parafia jako nowa liczy około 1600 mieszkańców. Nie wszyscy są gorliwymi katolikami, a wielu jest innych przekonań. Patron nowej parafii od 1997 r., św. Brat Albert Chmielowski, uczy nas pokornej służby. Przyszłe pokolenia, żyjące może w lepszych czasach, będą musiały to wszystko poprawić.

WR: *Byle tylko nie popsuły. W tym wnętrzu ta okładzina z lekkiej i wytrzymałej żywiczy nie przeszkadza, a nawet daje ciekawe efekty dzięki koper-towemu kształtowaniu powtarzanych segmentów oraz matowości powierzchni. Także zabezpieczenie latarni kopuły podestami nie zakłóca wcale przestrzennej harmonii wnętrza i mogłoby pozostać na stałe. Nasiwa się tu refleksja, że choć pieniądze są niezbędne, by przedsięwzięcia budowlane na taką skalę realizować, to same nie wystarczą. A szczerze mówiąc czasem może właśnie mobilizować do oryginalnych rozwiązań technicznych i artystycznych. We wnętrzu tworzącym, co bardzo ważne, jednorodną całość, a równocześnie bynajmniej nie monotony, dużą rolę odgrywają witraże, z pewnością jedne z najciekawszych w Częstochowie. Szczęśliwie łączą przekaz katechetyczny, opowieść w rodzaju Biblii pauperum – z podejściem symbolicznym. Są prawdziwymi, rasowymi witrażami, działają z wielką mocą kolorem, światłem, oryginalną formą, szczególnie te w trzech*

głównych oknach. Oryginalna w formie Droga Krzyżowa złożona jest z wielu oddzielnych obrazów i rysunków, opowiadających historię Męki Pańskiej i układających się w symboliczną całość. W kościele są też prace Włodzimierza i Karoliny Ściegiennych.

Ks. ZH: Wnętrze kościoła nie jest jeszcze ukończone Brakuje chrzcielnicy, ołtarza do tabernakulum, ambony. Obecny ołtarz, chociaż jest konsekrowany, może trzeba delikatnie „ubogacić”, zachowując jego prostą formę architektoniczną. Stacje Drogi Krzyżowej, wykonane przez artystę malarza Józefa Furdynę z Krakowa, bardzo mi odpowiadają, bowiem niejako zamykają całe wnętrze kościoła, tworząc jakby wystawę obrazów. Wiernym bardzo spodobało się takie rozwiązanie, chociaż niektórzy duchowni mówią, że to dziwactwo. Bogactwem wnętrza tego kościoła są

witraże, również według projektu Józefa Furdyny. Artysta po mistrzowsku zaprojektował w 11 otworach okiennych jeden obraz, który tworzy jak gdyby jedno okno. Program ikonograficzny witraży wynika z podstawowej prawdy ewangelicznej – katechizmowej: tajemnica Wcielenia – okno północne; tajemnica Odkupienia – okno południowe. Proszę zwrócić uwagę na symbolikę: ciemność – światłość. Abyśmy byli odkupieni, trzeba przyjąć Słowo Boże – i stąd witraż Ośmiu Błogosławieństw (góra Tabor) oraz przeżywać tajemnicę Wierzenia – stąd ponadczasowe przedstawienie Ostatniej Wieczery w centralnym oknie, które stanowi tło dla sprawowania liturgii Eucharystii. Następny witraż to obecność Ducha Świętego w kościele – w nas. Bez Ducha Św. nie dojdziemy do

chwały zmartwychwstania, do tajemnicy odkupienia. W dwu pozostałych oknach w tyle nawy – błogosławieni i święci polscy, którzy w ten Boży Plan Zbawienia na serio uwierzyli. Na uwagę zasługują również obrazy Włodzimierza Ściegiennego i jego żony, Karoliny. W latach 90. ubiegłego stulecia zamieszkali w naszej parafii, przy ul. Berlinga i p. Karolina przekazała wiele prac do naszego kościoła, ubogacając wnętrze kościoła i domu parafialnego. Jesteśmy jej za to bardzo wdzięczni. Będąc kiedyś konserwatorem zabytków w diecezji, uratowałem 2 obrazy p. Zofii Baudouin de Courtenay z parafii w Wiewcu, które zo-



Fot. Leszek Piłchowski

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY



Fot. Zbigniew Burda

stały wymontowane z bocznych ołtarzy kościoła i pozostawione bez opieki w nieodpowiednim pomieszczeniu. Prace konserwacyjne tych obrazów wykonał na mój koszt p. Józef Żołyński. Obrazy przedstawiają Matkę Boską Szkaplerzną i św. Marcina.

WR: Przez dłuższy czas w tym kościele ołtarz był długim stołem pośrodku świątyni, co wyraziście kojarzy się z Wieczernikiem. Szkoda, że nie miałem okazji tego zobaczyć. Obecnie – nawiązując do podwójnej symboliki: skały i stołu, zachowując równocześnie – przynajmniej w znacznym stopniu – charakter własnie stołu otoczonego przez uczestników liturgii. Szkoda, że tak mało powstaje świątyń w kształcie rotundy. A nawet tam, gdzie są – we wnętrzu zaciera się ich charakter przez ustawienie ołtarza pod ścianą, zamiast na środku.

Ks. ZH: Rzeczywiście, przez wiele lat będąc zaangażowani we Wspólnotę Neokatechumenalną, ustaliliśmy prowizoryczny wielki stół – ołtarz na samym środku nawy, wydłużając go w kierunku głównego wejścia. Krzesła ustawialiśmy wokół tego stołu, bardzo blisko. Szczególną wymowę miało to w czasie uroczystości I Komunii św. „Było tak jak na Ostatniej Wieczery” – tak mówili uczestnicy. Takie ustawienie przyciągało do ołtarza. Jednak w dalszym etapie trzeba było poszukać rozwiązania kompromisowego. Zachowaliśmy jednak centralne miejsce ołtarza. Dzisiaj ołtarz zaprojektował-bym dużo większy, na planie kwadratu.

WR: Posoborowa odnowa liturgiczna koncentrowała uwagę na wspólnotowym przeżywaniu liturgii i czynnym w niej uczestnictwie. Warto to zachować i rozwijać jako wielką wartość. A z drugiej strony, człowiek potrzebuje skupienia, indywidualnej modlitwy – i wewnątrz kościoła też powinno temu sprzyjać, może poprzez odrębne kameralne przestrzenie. (Tutaj mają temu służyć mniejsze pomieszczenia – kaplice w dolnej kondygnacji. Przestrzeń skupienia w malej

grupie tworzy też strefa bezpośredniego sąsiedztwa tabernakulum). Dlatego niezbyt się sprawdziły kościoły – hale dworcowe; choć z drugiej strony nie powinno się gubić ascetycznej prostoty, która też jest wartością, a była reakcją na przeladowanie kościelnych wnętrz różnymi ozdobami. To są trudne i złożone problemy, wymagające dłuższych rozważań. Ale jedno pewne. Jeśli jest tworzone przez artystę (bo przecież architekt to także artysta), który ma coś do powiedzenia w swojej dziedzinie, a równocześnie rozumie i czuje specyfikę świątyni – może powstać dzieło wybitne.

Za bardzo cenny trzeba uznać współdziałanie parafian w tworzeniu kościoła, także tego pisanego małą literą. Ale niedopuszczalne wprost są: bezmyślne dodawanie ozdóbek, zmiany niszczące charakter sakralny i artystyczny obiektu, bo tak akurat się podoba danemu proboszczowi, który w dodatku nie zawsze ma odpowiednie wycucie i orientację. Mogłby ksiądz z pewnością o tym coś powiedzieć ze swego długoletniego doświadczenia jako duszpasterza parafialnego i przedstawiciela Kurii w tej dziedzinie. Moglibyśmy o tym powiedzieć obaj, patrząc na to, co się dzieje z niektórymi kościołami, od formy architektonicznej poczynając, po kształtowanie, wystrój i wyposażenie wnętrz. Ale to temat na oddzielną rozmowę.

Ks. ZH: Tak, to są trudne problemy i bardzo złożone. O naszych kościołach zbudowanych po odwilży okresu PRL-u najdosadniej wypowiedział się prof. Andrzej Olszewski, historyk architektury, na sympozjum zorganizowanym przez komisję Episkopatu Polski i Zarząd Główny SARP w 1986 r.: „Z kościołów zbudowanych i budowanych w ostatnim czasie tylko 10–20 procent będzie stanowiło jakiś styl, który w przyszłości historycy określą. Reszta to nijakość”. Na to złożyło się bardzo wiele przyczyn: nieprzygotowanie projektantów i księży, niepewność w tamtych czasach, brak materiałów budowlanych, pośpiech, często ambicje projektantów, konieczność budowy wielkich kościołów dla wielkiego osiedla mieszkaniowego,



Fot. Zbigniew Burda

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

bo nie pozwalano tworzyć nowych parafii, bardzo często niezajomość wytycznych dokumentów kościelnych, mentalność tradycyjna. Pamiętam, na kilkudniowym sympozjum w Tucznie jeden z architektów, w dyskusji do późnych godzin nocnych, zapytał stanowczo księży: „to o co wam w końcu chodzi?” A chodziło o funkcję liturgiczną, a nie tylko o rzeźbę w terenie, która też jest bardzo ważna. Jaką rolę odgrywa wieża kościelna w krajobrazie, to wszyscy wiemy.

WR: *Właśnie. A przecież twórcy kościołów tzw. nowoczesnych jakże często nie liczyli się z krajobrazem, zwłaszcza wsi i miasteczek, tworząc rzeczy dla tego krajobrazu obce.*

Ks. ZH: A proszę przypomnieć sobie, jak byliśmy spychani w terenie, aby kościoła nie było widać. Przykładem jest nasz kościół, kiedyś w polu, na terenach nieuzbrojonych. Takich przykładów jest bardzo wiele, szczególnie w dużych osiedlach. Jednak te wszystkie kościoły, zbudowane w takich trudnych, skomplikowanych okolicznościach, powstawały dzięki ofiarnej postawie naszych wiernych. Powinna powstawać literatura piękna na ten temat, powieści, nowele, jak to budowa kościoła w parafii zmieniała kulturę środowiska, jak zaangażowanie (czasem zaniedbanych katolików) tworzyło wspólnotę. Na ten temat mam bardzo dużo do opowiedzenia. W wielu kościołach jest wiele kiczu. Jest to wyraz gorliwości parafian i duszpasterza. Trzeba być w tych sprawach cierpliwym. Przyjdą inni, z większym wyczuciem i znajomością sztuki kościelnej i powoli będą zmieniać na lepsze. Zostawmy - rzeczywiście – ten temat na inną dłuższą rozmowę.

WR: *Niektóre z wymienionych przez księdza przyczyn nie straciły aktualności do dziś. Ale inne już od lat, raptownie lub stopniowo, stają się nieaktualne. Gdyby te zewnętrzne uwarunkowania i przeszkody, wynikające z administracyjnych utrudnień, wyłącznie były tu decydujące – to już od blisko 20 lat powstawałyby same arcydzieła. Tym, co przyjdą, wypadaloby raczej zostawić to, co najlepsze, a nie liczyć na to, że będą się zajmować poprawianiem. Tak jak odziedziczyliśmy wspaniałe dzieła architektury i sztuki sakralnej - nie tylko gotyckie katedry, ale i piękne wiejskie drewniane kościółki*

czy kapliczki, dzieła sztuki ludowej. I jeszcze jedno. Na stronie internetowej jest wzmianka o działającej w parafii Akcji Katolickiej oraz neokatechumenacji. To są formy zorganizowane życia w parafii. Współpracuje też z księdzem wikariusz.

Ks. ZH: Akcja Katolicka – proszę przybyć na święta Bożego Narodzenia i zobaczyć, jaki jest wystrój – to czynią ludzie z Akcji Katolickiej. Posadzone krzewy i drzewa, zieleńce, klomby – to też Akcja Katolicka w działaniu.

WR: *Jak „Alejka Eweliny” uporządkowana przez nią i jej bliskich z okazji 18 urodzin? Informuje o tym specjalna tabliczka. Trzeba by zobaczyć, jak ta alejka będzie wyglądać na wiosnę...*

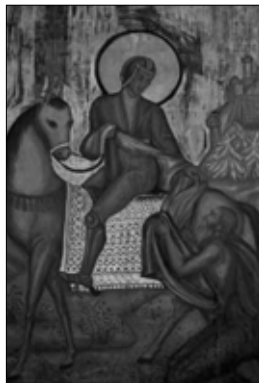
Ks. ZH: W parafii w 1987 r. powstała pierwsza w diecezji Wspólnota Neokatechumenalna. Neokatechumenat to dar Ducha Św. w okresie II Soboru Watykańskiego. Kto ma kłopoty z sobą albo z bliźnimi - życzę, aby wszedł w sam środek Kościoła. Wspólnota neokatechumenalna dobrze prowadzona pomaga „narodzić się na nowo”. Sam tego doświadczam. Uczę się posługiwać, a nie kierować. Bracia ze wspólnoty mówią mi prosto w oczy, a nie za plecami. Zapraszam na katechezy.

WR: *Bardzo dziękuję za rozmowę, za życzliwość, za udostępnienie kościoła. I życzę, aby piękna idea miejsca spotkania twórców oraz ich dzieł z parafianami kiedrzyńskimi i mieszkańcami Częstochowy mogła się zrealizować.*

Ks. ZH: W naszym kościele od 7 sierpnia do 31 października 1999 r. była czynna wystawa rzeźby sakralnej artysty rzeźbiarza z Paryża, Józefa Pytza. Było to wielkie wydarzenie artystyczne Częstochowy, o czym komunikowała Telewizja Polska w kilku programach.

Myślę, że ten kościół jeszcze „na uboczu” Częstochowy, zostanie zauważony i przyjdą do niego wrażliwi, poszukujący, głodni ... biedacy - i św. Brat Albert przytuli ich i ogrzeje swoim ubóstwem i szczerą miłością, i będzie dzielił się tym, co ma – miłosierdziem, przypominając, że „trzeba być dobrym jak chleb”.

W. Ratusiński



Zofia Bauduin de Courtenay -
Św. Marcin



Adam Chmielowski -
Ecce Homo (kopia)

Aleksander Wierny

(fragment większej całości)

E

- Nie opowiadaj o poranku bzdur! – krzyczy czerwona twarz z wąsem jak brudne zwierzę. Pochyla się nad beżową kurtką z rozległymi plamami.

Zima, ciemność. Tłok w tramwaju. Bian patrzy i słucha. Piją razem, myśli, upijają się od lat.

- Jest wieczór – mówi cicho beżowa kurtka.

Czerwona twarz zastyga, nie dowierza, wąs opada na usta. Patrzy na inne twarze, szuka poparcia. Bian porusza ramionami przesyty telepatycznym impulsem. Pasażerów łączy nieme porozumienie. Spuszczają głowy, odwracają wzrok. Jeśli staną po stronie plamistej kurtki, czerwona twarz straci wszystko. Ziemia umknie spod nóg i pogna w mroźną próżnię. Zasilany alkoholowym paliwem wszechświat wesie czarna dziura. Wybierają kłamstwo, żeby nie mnożyć cierpienia, milczą.

Bian wznosi rękę. Wyciągnięty palec wskazuje elektroniczny zegar na dachu Zakładu Energetycznego. 18:48. Tramwaj zatrzymuje się przed skrzyżowaniem z Aleją Jana Pawła II. Sygnalizator pozwala płynąć potokom samochodów. W zniechęconym wagonie czerwona twarz może się dobrze przyjrzeć jaśniejącym żółtym światłem cyfrowym. Nad wyszczerzonymi zębami wąs stroszy się jak brudne zwierzę zapędzone w pułapkę. Beżowa kurtka garbi się, zmniejsza, zapada. Pasażerowie odsuwają się od Biana.

Wysiada na następnym przystanku, choć inaczej wycyzzył trasę. Resztę drogi przemierzy piechotą, idąc wzdłuż torów.

- Czy jestem gotowy wszystko stracić? – myśli. – Czy jestem gotowy?

CZOSNEK 3SZT 1,98
BATON CRUNCHY ŚLIWK. 0,98
PIW.ŻYWIEC 0,5L P. 2,52

Przygląda się w półmroku twarzom przechodniów, ale gdy ktoś spojrzy w jego stronę, odwraca głowę. Po przeciwnej stronie Alei Armii Krajowej widzi kłocowate gmachy Politechniki, zaprojektowane z inżynierską pogardą dla obłości. Nad Bianem nachylają

się wieżowce; błyszczą światłami mieszkań jak bożonarodzeniowa choinka. Omija policyjny patrol - dwaj mundurowi kulą się z zimna i drobiaź, zamiast godnie kroczyć w majestacie władzy. Bian przypomina sobie, że zgubił dowód osobisty. Nie może wydobyć z pamięci rysów twarzy uwiecznionej na fotografii na dokumencie. Zdejmuje szarą czapkę, przegarnia włosy. Dotyka nosa, policzków, wsadza palec do ucha. Całuje grzbiet dłoni i wystawia wilgotne znamię na lodowaty wiatr, żeby odczytać kształt ust. Głośno pociąga nosem, potem spluwa zbitym pociskiem flegmy. Czarny, kudłaty pies odskakuje i warczy ostrzegawczo. Właściciel zwierzęcia, otulony workowatym płaszczem starzec, rozgląda się bezradnie i szuka pomocy, ale policjanci zniknęli za zasłoną zamieci. Patrzy wrogo na wysokiego, szczupłego mężczyznę z jasnymi włosami, wydatnym nosem i niebieskimi oczyma, który upokorzył psa. Bian chroni się pod czapką. Każdy krok na śliskim chodniku wymaga skupienia.

ML.WANIL.200ML 1,08
WHISKAS Z CIEL. 2,78
OLIWKI DR. ZIEL.170G 5,68

Tramwajowe tory skręcają w prawo, przecinają dzielnicę Północ. Bian idzie prosto. W przedsiönku supermarketu strząsa z butów śnieg i rozpinia kurtkę. Mruży oczy w sztucznym świetle, w feerii barw, zanurza się w morzu produktów.

- Czy jesteście gotowi wszystko stracić? – myśli. – Czy jesteście gotowi?

PŁYN DO SPRYSKIWACZY 10,99
HAL.PHIL.DICHR.50W G 15,59
ASEPTIC 0,5L 1.98

Bian nie umie kupować. Boi się decyzji. Paraliżuje go mnogość produktów. Zatrzymuje się przed półką, wyciąga rękę, ale dłoń drży, wiotczeje, wędruje bezładnie od jednego towaru do drugiego, opada. Bian przegrywa w starciu z nieskończonym bogactwem możliwości. Poci się, wyciera czoło. Sapie jak po szybkim biegu albo po mocnym seksie, zderzającym mokre ciała. Wie, że odda pole, ale za każdym razem próbuje. Potwierdziwszy niemoc, zaczyna polowanie. Kradnie pełne wózki i odprowadza do kasy. Płaci i ucieka. W domu analizuje łup i rachunek, dowód występku, spis zdobyczy. Żywi się tym, co ukradł i za co zarazem zapłacił. Magazynuje to, co skradł, za co uiścić jednocześnie stosowną opłatę,

a co nigdy nie będzie mu potrzebne, bo boi się także wyrzucać. Dwa pokoje w bloku z wielkiej płyty zaglegają niepotrzebne przedmioty: plastikowe samoloty, składane krzesła, golarki do depilacji. Mocne wódki, delikatne rośliny doniczkowe, płyty z filmami o miłości. Za duże buty męskie, damskie obuwie, żelwino hantle. Zdrowa soja w ekologicznych opakowaniach, pieluchy w kolorowych torbach, książki o atrakcyjnych tytułach.

MIESZANKA MEKSYKAŃSK 3,58 CAMEBERT FOLI 2,98

Kraży, czeka, wypatruje wózków bez opieki. Kobieta w fioletowym, włóczkowym szalu pogrąża się w kontemplacji męskich dezodorantów, ale stoi zbyt blisko, niemal dotyka lewą nogą kółka. Młode małżeństwo pobiegło za rozbrykanym synem, czteroletnim chłopczykiem, lecz ich znajomi przejęli pieczę nad pojazdem. Uśmiechają się wyrozumiale. Bian odchodzi, kieruje się do stoiska z alkoholem. Gruby mężczyzna w dresowej bluzie pociera nieogolony policzek i stopa za stopą przesuwa się wzdłuż regału z piwem. Bian przybliżyła się w tym samym tempie do wózka. Dotyka opuszkami palców zimnych prętów pojazdu. Nagle mężczyzna dokonuje wyboru, dużymi dłońmi zgarnia cztery puszki. Bian ucieka, skręca, chowa się za półką. Estera i jej mąż debatują nad kształtem makaronu. Nie widzą Biana; Bian patrzy na usta Estery, które ugiwały się wczoraj pod ciężarem jego języka.

- Czy jesteś gotowa wszystko stracić? – pyta bezgłośnie Estery.
- Czy jesteś gotowy wszystko stracić? – pyta bezgłośnie jej męża.
- Czy jestem gotowy wszystko stracić? – zadaje sobie bezgłośnie pytanie.
- Kokardki – mówi mąż Estery.

MAKARON KOKARDKI 500 4,28

Kobieta pochyla głowę, ciemne włosy zasłaniają twarz. Bian wie, choć nie widzi, że Estera obliżuje usta, przesuwa wargami po śnieżnobiałych zębach. Podejmuje decyzję. Zdecydowała, czyli pogodziła się z wyborem męża.

- Zastanówmy się nad kluskami – mówi.

Oddalają się od wózka.

Bian chwytając pojazd, nakłada nań dłonie jak rozpoczynający koncert wirtuoz-pianista, jak bioenergoterapeuta zaczynający uzdrawiający seans. Bez

skrzyknięcia dociera do kasy. Wyciąga kartę płatniczą, reguluje rachunek. W mieszkaniu gotuje makaron, wysypuje na parujący kopczyk mieszanek meksykańskich warzyw, kroci czosnek, wieńczy potrawę zielonymi oliwkami. Żuje w milczeniu. Popija piwem. Nie czuje smaku.

Bian wie, że wybrała przydomek „Estera” na potrzeby romansu. Będąc z Bianem chce być kimś innym. Tożsamość poświadczona dowodem osobistym, aktem zawarcia ślubu i wspomnieniami z ponad trzydziestu lat świadomego życia uwiera ją jak niewygodny but. Bian wie, że najpierw był wiersz zatytułowany „Estera”, który zapadł jej w pamięć, który nadał kształt jej pragnieniom, który opisał jej tęsknoty:

Rzadko się trafia to imię pachnące i gorące aż nadto, które nieraz za życia już hojną nagrodzone bywa zapłatą.

Imię szczęśliwe i szczęście nosące bliskim bez uszczerbku dla siebie,

imię zapisane szczodrymi gwiazdami miłości na niebie.

Naprawdę ma na imię Elżbieta. Bian także nosił inne imię, zanim ją poznał. Zapisano je w dowodzie osobistym, który zniknął, rozplynął się w zimowych otchłaniach.

Zanim zaśnie, pisze do niej rytualnie płomienno-go maila. Od siedmiu lat Estera upaja się pieśniami miłosnymi w swoim gabinecie, w przerwach między wizytami pacjentów. W domu nie zagląda do skrzynki, żeby nie zostawiać śladów. W domu słucha męża. Czyta czekając na spróchniałe trzonowce, albo jedynki z uszczerbkami. Pochyla się potem nad przerażonymi pacjentami i z delikatnym uśmiechem generuje ból, pieszcząc w pamięci słowa Biana.

„Miłość, Estero, miłość. Jesteś inspiracją i spełnieniem. Myślę o tobie paląc papierosa na wietrze, bo podczas ostatniego spotkania wiatr rozwiewał Twoje włosy. Myślę o Tobie, kiedy idę po schodach, bo pamiętam, jak potknęłaś się wbiegając na czwar-te piętro, żeby jak najszybciej znaleźć się w moim mieszkaniu. Myślę o Tobie, gdy oglądam w telewizji siatkarski mecz, bo przez sekundę na widowni dostrzegam kobietę o podobnej fryzurze. Edyta Romańska – przedstawia się kobieta, którą spotkam w pracy i to „E” na początku wystarczy, żebyśmy pomyślał o Tobie. Miłość, Estero, miłość.”

Bian zasypia.

Danuta Bożek

Dzień Kobiet

Najpierw przyszła znajoma. Wdowa, która po wielu latach borykania się z podwójnymi obowiązkami wobec rodziny, wreszcie postanowiła żyć własnym życiem. Później było spotkanie w gronie szkolnych koleżanek. Zorganizowałam je w nadziei na odnalezienie tamtej, przeszłej rzeczywistości. Spojrzałam na te siedzące obok mnie „beztroskie nastolatki” i zobaczyłam kobiety, które ku mojemu zdziwieniu łączyła tajemna więź podobieństwa losów.

Jedna od dawna przeżywająca trudności w małżeństwie, chwilowo spokojna, bo mąż wyjechał za granicę. Druga nieszczęśliwa z powodu wyjazdu męża za granicę; zostawił ją przed wieloma laty. Obok niej niedawno owdowiała nieszczęśliwa kobieta, bo akurat jej małżeństwo było udane. I jeszcze, od niedawna rozwiedziona i uwolniona z nieudanego małżeństwa.

Na scenie dramat. Trudne związki i rozstania. Po wyjściu z teatru sms od znajomej, która podjęła ostateczną decyzję o rozstaniu z mężem.

Na koniec dnia joga. Na sali same kobiety. Wszystkie w asanach oderwane od rzeczywistości.

W nocy nic mi się nie śniło.

Bajki

Bajki, mity, przypowieści mają zawsze ukryte drugie, ważniejsze oblicze, choć to pierwsze - zewnętrzne - jest uznanym wzorcem.

Czy Ikar był bohaterem, czy ofiarą? Myślę, że ofiarę zrobili z niego maluczy, którzy nigdy nie wzniesli się PONAD. To on - choć przez chwilę - poczuł życie, zobaczył świat, a oni przeszli OBOK, czyniąc z jego historii fałszywe usprawiedliwienie.

A ta biedna kobieta z bajki „O rybaku i złotej rybce”? Wszyscy się użalają nad losem rybaka, a tak naprawdę bajka opowiada o kobiecie skazanej na niezgułę i życie w walącej się chałupie z przewróconym płotem. I tylko jakimś cudem do dziurawej sieci rybaka wpadła złota rybka, druga, po kobiecie, jego ofiara.

Karnawał

Nie bawiłam się w karnawale, ale na myśl, że się kończy, poczułam żal. Kiedyś przysłuchiwałam się rozmowie bezdomnych. Siedzieliśmy na jednej ławce na Dworcu Centralnym. Ja w oczekiwaniu na pociąg, a oni? Jeden z nich zauważył, że o tej porze na dworcu - a były to godziny późnonocne - nic się nie dzieje. Najwyraźniej aktywne życie było jego marzeniem, bo zaraz przeszedł do kwestii natury bardziej ogólnej i z ogromnym ożywieniem zaczął mówić o zbliżającym się okresie świąt wszelakich, imprez i zabaw. Zupełnie jakby do tego sprowadzało się jego życie. Wyliczając zbliżające się święta zapomniał o Barbórcie, ale zaraz się poprawił. I jemu też zrobiło się smutno, gdy mówił o nieuchronnym końcu karnawału.

Na chwilę tylko jeszcze się rozpromienił perspektywą Świąt Wielkanocnych. Na czas kanikuly nie miał najwidoczniej żadnych planów, bo po chwili zmienił temat.

Piotr Nita

Puka

Niech puka, niech dzwoni, tata mówi, nie otwierać i nie przejmować się, klocki składać, samochodzikami brumać i nie otwierać, niech puka; tata nie ma na ratę, no nie ma, to co gadać; tata mówi, że to złodziej, że pieniądze dał i kredyt, ale procent zdzierczy, więc niech puka, niech dzwoni, tata powiedział – nie otwierać, z okna nie wyglądać i niech dzwoni, złodzieja nie wpuszczać; brumać i nie przejmować się, rybki nakarmić, niech puka, niech dzwoni, niech karteczki zostawia i pod oknem pogwizduje, złodziej ten; tylko, że resoraki nie chcą coś brumać, rybki niejadki i tylko w kącie miło, bo z daleka od drzwi, okien; niech dzwoni, niech puka, tylko że klocki jakieś takie popsute, ręce się trzęsą, a nocami z szafy słychać, że puka, słychać, że dzwoni, tata mówił – nie przejmować się; ale trudno gdy on tak nocami z szafy; a niech puka...

Elżbieta Hurnikowa
Władysław Terlecki
(1933-1999)

Władysław Lech Terlecki, znany pisarz, autor słuchowisk radiowych, scenariuszy, utworów dramatycznych, urodził się w Częstochowie 18 maja 1933; był absolwentem II LO im. Romualda Traugutta. W latach 1951-1954 studiował filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim. Od roku 1956 przebywał w Warszawie; w latach 1961-1967 związany był ze „Współczesnością” (red. działu prozy), przez pewien czas także z Polskim Radiem. Należał do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Zmarł 3 maja 1999 w Warszawie.

Zadebiutował w roku 1955 na łamach tygodnika „Dziś i Jutro” jako reportażysta; reportaże wydane zostały w tomie *Kocie lby* (1956). Twórczość literacką rozpoczął zatem od małej formy i przez kilka lat wydawał głównie opowiadania (*Podróż na wierzchołku nocy* – 1958; *Pożar* – 1962; *Sezon w pełni* – 1966). W zbiorach tych, począwszy od reportaży, ujawniły się zainteresowania, którym pisarz wierny będzie i w późniejszej twórczości. Łącząc je, jak pisał przed laty Włodzimierz Bolecki, problematyka obyczajowo-etyczna oraz specyficzna narracja. Terlecki koncentruje się na pytaniu, kim jest człowiek w perspektywie historii, jaki jest jego udział w biegu historii. W roku 1966 ukazała się powieść *Spisek*, którą Janusz Maciejewski nazwał „pierwszą powieścią historyczną pokolenia <Współczesności>”. To przyporządkowanie jest znaczące; określa ważne miejsce pisarstwa Terleckiego na powojennej mapie literackiej.

Powieści i opowiadania historyczne Władysława Terleckiego związane są tematycznie z wiekiem XIX, przede wszystkim z powstaniem styczniowym. Z fascynacji okresem walk narodowowyzwoleńczych i ruchów rewolucyjnych wyrosły takie utwory, jak wspomniana powieść *Spisek*, ponadto: *Dwie głowy ptaka* (1970), *Powrót z Carskiego Siola* (1973), *Rośnię las* (1977), *Lament* (1984). Pisarz konfrontuje w nich racje polityczne i ideowe z moralnymi, ogólnie z jednostkowymi, próbuje odtworzyć świadomość bohaterów uczestniczących w ważnych wydarzeniach, a jednocześnie przeżywających własne dramaty; rekonstruuje proces kształtowania się nowoczesnej świadomości narodowej i społecznej. Krytycy podkreślają, że dorobek pisarza w tym zakresie jest interesujący zarówno ze względu na związaną z wątkiem historycznym problematykę moralno-polityczną, jak i kształt artystyczny utworów.

Powieść historyczna stanowi gatunek synkretyczny o bogatej tradycji, na którą w dużej mierze złożyły się dokonania pisarzy dziewiętnastego wieku. W rozwoju polskiej powieści duże znaczenie miało pisarstwo Józefa Ignacego Kraszewskiego, który stosował się do reguł historiografów, opartych na materiale źródłowym. Za mistrza w dziedzinie powieści historycznej uważany jest Henryk Sienkiewicz, uhonorowany Nagrodą Nobla i cieszący się niezwykłą popularnością wśród czytelników, tworzący „ku pokrzepieniu serc”. Do grona najwybitniejszych przedstawicieli powieści historycznej na przełomie XIX i XX wieku należeli: Bolesław Prus, autor parabolicznej powieści *Faraon*, Władysław Reymont, autor m.in. *Roku 1794*, Stefan Żeromski, autor *Wiernej rzeki*, uważanej za najlepszą polską powieść o powstaniu styczniowym. Prozę XX wieku wzbogaciły takie utwory historyczne jak *Żywe kamienie* Wacława Berenta, *Krzyżowcy* Zofii Kossak-Szczuckiej, *Kordian i cham* Leona Kruczkowskiego, *Ciemności kryją ziemię* Jerzego Andrzejewskiego, *Srebrne orły* i inne powieści Teodora Parnickiego, które wniosły rewolucyjne zmiany w obręb gatunku, i wiele innych.

Władysław Terlecki zaferował czytelnikom własny model powieści historycznej. To nie wydarzenia historyczne pozostają w centrum jego zainteresowań, lecz świadomość ludzi, których losy reprezentują egzystencję całego społeczeństwa. Uważał, że historia jest metodą rozumienia współczesności. W. Bolecki tak scharakteryzował stosunek pisarza do tradycji: „Tamten model pisania o historii podporządkowany był jakiejś nadrzędnej pragmatyce: już to chciano <pouczać> czytelników, już to <krzepić serca> lub <rozrywać rany>. Chciano albo popularyzować wiedzę na temat faktów przeszłości, albo utrwać <ku pamięci> postawy bohaterów minionego. Ten sposób pisania odwoływał się najczęściej do konstruowania w powieści układów bezpośrednio zrozumiałych, do przewagi informacyjnych relacji typu bohater – czytelnik. (...) W zestawieniu z takim modelem świat powieści Terleckiego jest maksymalnie nieprzejrzysty – przeważają w nim bowiem informacje przekazywane jakby tylko od postaci czytelnika, co powoduje, że orientacja czytelnika jest nieustannie ograniczana. Jedyną możliwością orientacji w tym świecie jest aktywność czytelnika, który – aby rozszyfrować autora – musi odwołać się do wiedzy niepotocznej.”

Jednostka w utworach Terleckiego skonfrontowana jest z uwarunkowaniami historycznymi, politycznymi, społecznymi, kulturowymi. Dowodzą tego losy i dylematy etyczne bohaterów takich powieści, jak: *Gwiazda Piotru* (1968), *Pielgrzymi* (1972), *Czarny romans* (1974), *Odpuśćnij po biegu* (1976; adaptacja sceniczna 1977), *Zwierzęta zostały opłacone* (1980; ekranizacja według scenariusza Terleckiego pt. *W biały dzień*,

1980), oraz opowiadań zawartych w tomach: *Rośliny las* (1977) i *Trzy etiudy kryminalne* (1980), a także słuchowisk wydanych w zbiorze *Herbatka z nieobecnym* (1978). Pisarz stworzył model powieści psychologiczno-obyczajowej, w obrębie którego pojawił się także temat złożonej, skomplikowanej osobowości twórczej. Reprezentują go takie powieści, jak: *Cień karla, cień olbrzyma* (1983), w której jawi się postać Lwa Tołstoję, *Pismak* (1984), *Laur i cierań* (1989). W niektórych utworach losy bohaterów zbieżne są z losami znanych pisarzy. Wspomniana wcześniej *Gwiazda Piolun* przywołuje sprawę Witkiewicza, fabuła powieści *Zwierzęta zostały oplacone*, ukazująca młodego konspiratora mającego wykonać wyrok śmierci na podejrzanym o współpracę z carską ochroną, przypomina sprawę Stanisława Brzozowskiego.

Do najistotniejszych technik narracyjnych Terleckiego zaliczają badacze artystyczne reguły opowiadania, budowanie większych całości kompozycyjnych, koncentrowanie wielowarstwowej fabuły wokół głównego problemu (układ szaradowy), surowość stylu, wprowadzanie różnych gatunków, jak: esej, felieton, kronika, sprawozdanie sądowe, proza kryminalna. W powieści *Drabina Jakubowa albo podróż* (1988), której akcja osadzona została w końcu XVIII wieku, w tok narracji wplata autor dygresje i rozważania filozoficzne bohaterów na temat granic wolności jednostki, moralności władzy, itd.

Dzieła Władysława Terleckiego nie tylko wzbogaciły prozę historyczną o nowe rozwiązania formalne i odrębne widzenie historii, ale stanowiły też, zwłaszcza w latach 70. ważne ogniwo dyskusji na temat postaw ideowych Polaków. Autor pomażał swój dorobek o zbiory retrospektywne, jak *Złoty wqwóz* (1978), przekłady, adaptacje, słuchowiska, które świadczą, że jako artysta dążył do wypowiedziania się w wielu formach.

W roku 1972 pisarz uhonorowany został Nagrodą im. Kościelskich za powieść *Dwie głowy ptaka* (1970). Za całokształt twórczości w roku 1978 otrzymał nagrodę miesięcznika „Odra”; w roku 1979 przyznano mu nagrodę prezesa Rady Ministrów II stopnia.

Powieści Terleckiego tłumaczone były na wiele języków (niemiecki, bułgarski, węgierski, francuski, rosyjski, słowacki, słoweński, czeski, włoski).

Literatura przedmiotowa (wybrane pozycje):

W. Bolecki, Sądźmy różę... (Opowiadania Władysława Terleckiego), (w:) tegoż, Prawdy niemiłe, Wyd. Przedświt, Warszawa 1993; Literatura polska. Przewodnik encyklopedyczny, t. 2, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1985 (hasło: Terlecki Władysław Lech, oprac. H. Urbas; M. Bernacki, M. Pawlus, Słownik gatunków literackich, wstęp S. Jaworski, Bielsko-Biała 2002.

Chrząszcze w vilanelli

Rozmowa z poetką
Wiolettą Grzegorzewską



*Niedługo miną dwa lata, od-
kąd zmieniłaś otaczającą Cię rze-
czywistość z polskiej na angielską.
W Twoich utworach słycałaś to,
ale tylko częściowo. W najnowszym
tomiku poezji – „Orinoko” – prze-
wagę mają wiersze odzwierciedla-
jące pokłady przeszłości, dzieciństwa,
a nawet życia pokoleń Twoich
dziadków.*

Wiersze ze wspomnianego tomu pochodzą z różnych lat. Staralam się zebrać w tym projekcie utwory, które pokazują moje dojrzewanie. „Orinoko” to książka o wędrowności takiej trochę, jak w „Kandydzie” Woltera. Przypomnę, że imię Kandyd znaczy biały, niewinny. Moja bohaterka odwiedzając kolejne stacje, traci w jakimś sensie dziecięcą niewinność.

Tomik „Orinoko” został wydany w Polsce w lutym 2008. Wiąże się to ze zdobytą przez Ciebie nagrodą w Ogólnopolskim Konkursie „Tyska Zimą Poetycka”. Co to za konkurs?

Teatr Mały w Tychach po raz ósmy ogłosił konkurs dla poetów po debiucie, w którym nagrodą było wydanie tomu poezji. Wysłałam projekt książki i na początku lutego zadzwoniła do mnie pani dyrektor Ewa Iwańców i poinformowała mnie o nagrodzie. Ucieszyłam się bardzo, ponieważ chciałam, żeby moje wiersze poszły sobie już w świat i zostały mi w spokoju. Moja radość była ogromna, ponieważ nagrodzili mnie pisarze, których bardzo cenię: Piotr Sommer, Jerzy Jarniewicz, Wojciech Bonowicz.

W książce „Orinoko” są zawarte obrazy z różnych etapów Twojego życia, od spędzonego na wsi dzieciństwa, egzystencji w polskim mieście, przez wędrowanie myślami za Kanał La Manche, aż do osiedlenia się tam. Kompozycja tego tomiku jest więc pewnym przeobrażeniem, patrzymy w nim oczami Wioletty i Violi pod różnymi postaciami...

Należy pamiętać, że w wierszach pojawiają się moje kreacje liryczne. Próbowałam wejść w światy kobiet, które spotykałam podczas mojej kilkuletniej włóczęgi po różnych stacjach.

Jakie bodźce przynoszą Ci poezję? Co na nią przetwarzasz: obrazy, myśli, zdarzenia? W Twoich utworach, zarówno nowych, jak tych z poprzednich tomików chętnie sięgasz po retrospekcję – znaną, ale też wyobrażoną lub przekazaną. Opowiedz, proszę, o toczącym się w Tobie procesie powstawania wierszy.

Prawie wszystko mnie inspiruje, ale najbardziej różne książki. Wiersz pt. „Morfinowe” napisałam przeglądając stary „Atlas chrząszczy”. Pewnego dnia przyjechały książki z Polski, rzuciłam się na pudła i w moje ręce wpadła wspomniana książka. Zobaczyłam w niej walkara lipczyka, krawca głowacza, orszola prażkowanego. Te żuki skojarzyły mi się z opowiadaniem Kafki pt. „Przemiana”, w którym bohater zmienił się w robaka. W moim wierszu bohaterka leży w szpitalu Saint Mary’s i wydaje jej się, że lekarze w kitlach wyglądają jak żuki. Całości nadałam formę vilaneli – jest to obecnie jeden z moich ulubionych gatunków poetyckich. Najbogatszym źródłem wierszy jest, jak słusznie zauważyłaś, moja pamięć, ale ostatnio jest ze mną tak jak w moim ulubionym powiedzonku Marka Twaina: „W miarę jak się starzeję, coraz bardziej pamiętam rzeczy, które się nigdy nie zdarzyły”.

Z Twoich słów zawartych w poezji wyziera ogromna doza ludowych mądrości, w otoczeniu których się wychowywałaś i które – można by sądzić – wpłynęły ogromnie na całe Twoje życie. Co lub kto spowodował, że zaczęłaś studiować wiedzę o literaturze, używać twórczo języka i, czerpiąc garściami zarówno z tej pierwotnej wiedzy, jak i z tradycji literackiej i historycznej, tworzysz z pomocą słów przejmujące obrazy?

Niestety nie wiem, co miało na mnie decydujący wpływ. Ludzie z mojej rodzinnej miejscowości często spotykali się i opowiadali sobie różne historie. Słuchałam z zapartym tchem: bajek, legend, historii wojennych, zakazanych piosenek mojego dziadka i wtedy zdałam sobie sprawę z tego, że język to ogromna siła. Postanowiłam, że też będę takim „opowiadaczem”. Staralam się nauczyć poprawnej polszczyzny, ponieważ moi antenanci porozumiewali się narzeczem lokalnej gwary. Cha, cha i teraz znowu muszę opanować następny język, a przyznam, że nie mam na to ochoty.

Pamiętasz czas powstawania Twoich pierwszych utworów literackich?

Pisałam od siódmego roku życia. Miałam mnóstwo brulionów. Często zdręczałam rodzeństwo i kuzynki moimi wypocinami. Pierwszy wiersz był o króliku, potem o moim ukochanym kocie. Miałam fioła na punkcie zwierząt. Pisałam treny adresowane do każdego stworzenia, które zdechło w naszym gospodarstwie, a było

tęgo sporo, ponieważ ojciec zajmował się hobbyściami – preparacją zwierząt. Tak poważnie pierwszy utwór napisałam w liceum – był to biały, polityczny wiersz o dziewczynce z Nagasaki, która zmarła z powodu choroby popromiennej. Pamiętam początek „To Harry Truman i Oppenheimer nie pozwolili Sadako żyć...”, następny wiersz był o Beatrix Cenci – bohaterce z dramatu Juliusza Słowackiego.

Wydaje mi się, że jesteś osobą pogodną, delikatną, z poczuciem humoru. Jednak poezją rzadko kierujesz się ku jaśniejszym stronom życia. Twoje spojrzenie, nawet kiedy przemawiasz jako dziecko, a właściwie zwłaszcza wtedy, jest bardzo poważne i surowe.

Hm... prawie każdego męczą jakieś demony. W życiu staram się być osobą pogodną, ale w tzw. akcie twórczym nie boję się uderzyć w najczulsze, ciemne strony.

Czy znalezienie się w „lepszem” świecie – gdzie ponoć egzystencja jest łatwiejsza – lagodzi ten punkt widzenia?

Nie wiem, czy świat, w którym obecnie egzystuję, jest lepszy. Dla mnie wszystko tutaj jest nowe. Najchętniej nie rozstawałabym się z aparatem fotograficznym. Wyjazd do Wielkiej Brytanii to moja pierwsza w życiu poważna podróż. Wcześniej nie byłam obieżyświatem, nie lubiłam podróżować. Na Wyspie Wight ludzie są bardzo sympatyczni, weseli i uprzejmi. Jednak czuję, że podchodzą do Polaków z dystansem. Bardzo lubię emigrantów z Litwy, Sri Lanki, Turcji, Filipin. Większość poznaję na kursie językowym ESOL. Wydaje mi się, że pod względem finansowym żyje się tutaj trochę lepiej.

Widzisz w sobie jakieś zmiany po zbrodniu „dwóch kroków na zachód”. One Cię cieszą, czy niepokoją?

Zauważyłam plusy i minusy przebywania na emigracji. Nowe doświadczenia otworzyły mnie. Jestem pewniejsza siebie i nabrałam dystansu. Urodziłam w Newport córkę i nie boję się nowych życiowych wyzwań. Niepokoję się tylko o mój język. Czuję, że tracę swobodę komunikowania się. Frazeologizmy chwieją się. Niedawno napisałam w wierszu „pod pazuchą” zamiast „za pazuchą” itp. Nie mam kontaktu z żywą polszczyzną. Wszyscy Polacy na wyspie posługują się angielskimi hybrydami: „Byłeś w „serdzeni”? Idziesz na „bastejszyn”, widziałeś w „funciahu”. Myślę, że to nie koniec mojej włóczęgi. Ostatnio wysłałam swoje dane do urzędu, który losuje tzw. zieloną kartę do USA – jest to „green card lottery group”.

Czy organizm poety wyjęty z ekosystemu, w którym się narodził, cierpi? Może mając inne pożywki, tworzy inną materię słowa? A może silna pamięć, wyobraźnia wystarcza mu, aby mógł obracać się w sferze dotychczasowych odczuć?

Na początku bardzo cierpiałam, nie pisałam wierszy kilka tygodni. Postanowiłam przypomnieć sobie „Trans-Atlantyk” Witolda Gombrowicza i w jakimś sensie ta książka mnie uleczyła śmiechem z nostalgii. Zrozumiałam, że życiowe zmiany i nowe doświadczenia mogą być pożywką twórczą. Wystarczy przypomnieć sobie pisarzy emigrantów takich jak: Zygmunt Haupt, Czesław Miłosz, Vladimir Nabokov. Czasami doskwiera mi samotność na wyspie. Tęsknię za Częstochową.

Masz łatwość określania nowych sytuacji?

Trudno powiedzieć. Pisanie w jakimś sensie pomaga określać nowe sytuacje i jest próbą przeniknięcia naszego ludzkiego i najbardziej zawilego ze wszystkich światów.

Miałabyś ochotę użyć czasem odmiennych środków wyrazu? Na przykład zamiast słów – plam barwnych i kresek?

Tak, moja wyobraźnia plastyczna szuka ujęcia. Kiedyś podczas młodzieżowego pleneru malarskiego usłyszałam od pewnej malarki, że mam zdolność rozpoznawania ogromnej ilości barw z palety kolorów zimnych. Brzmi to dosyć nieprawdopodobnie, więc nie wiem, czy w to wierzyć. Zajęłam się prozatorską książką pt. „Szkoła barw”, ale porzuciłam ten projekt. Cóż, dostałam niedawno na urodziny farby (śmiech). Tak na serio – myślę, że nigdy nie będę malować. Za to kołam malarstwo innych. Polecam obrazy Erny Rosenstein, Charlotte Salomon, Fridy Kahlo.

Zawód: poeta? Jak można zaistnieć w tej dziedzinie? Chyba duże znaczenie ma tutaj częsty udział w konkursach poetyckich. W jak wielu brałaś udział (wiemy, że często będąc nagradzaną)?

Każdy poeta myśli inaczej o słowie „zaistnieć”. Świat się bardzo zmienił. Obecnie można bardzo szybko zdobyć popularność w internecie na stronach poetyckich. Uważam, że poeta, który „robi swoje” prędzej czy później wypłynie i znajdzie grono swoich czytelników. Dla mnie „zaistnieć” – oznacza stworzyć swój własny, rozpoznawalny liryczny świat, a wiąże się to z latami poszukiwań i prób. Konkursy raczej w tym nie pomagają. Brałam udział w konkursach z różnych powodów. Na początku chciałam poznać polski świat

tek literacki: poetów, krytyków i nie jest prawdą, jak pisał kiedyś o mnie pewien redaktor, że zarabiałam w ten sposób. Nie udało by mi się przeżyć za 200–300 zł, bo takie były wtedy nagrody. Ostatnio wysyłałam wiersze tylko na konkursy, w których główną nagrodą było wydanie książki. Wiedziałam, że pobyt za granicą utrudni poszukiwania wydawcy w Polsce.

Jakie jeszcze działania artystyczne w ciągu ostatnich dwóch lat były Twoim udziałem?

W ciągu ostatnich dwóch lat skoncentrowałam się tylko na pisaniu. Wykorzystuję czas, kiedy nie muszę na razie pracować zarobkowo. Publikowałam dużo w Internecie, także pod pseudonimem Viola Greg i w polskich czasopismach literackich m.in. w krakowskim „Studium”, w łódzkim „Tyglu Kultury” i chyba moje wiersze wziął redaktor z lubelskich „Kresów”. Próbowałam także tłumaczyć wiersze np. Monizy Alvi – poetki bardzo znanej w Wielkiej Brytanii, która urodziła się w Pakistanie i Fleur Adcock – poetki pochodzenia nowozelandzkiego. Jeszcze nie potrafię poradzić sobie z angielskim językiem. Otrzymywałam różne zaproszenia np. wystąpienia w „The Bones Theatre” w Londynie, ale nie mogłam w tym czasie podróżować z kilkumiesięczną córeczką. Chciałabym w ciągu następnych trzech, czterech lat wydać książkę poetycką, która pokaże moją fascynację wiekiem dwudziestym.

Dziękuję za rozmowę, a czytelników zachęcam do sięgnięcia po książkę „Orinoko”.

Rozmawiała Dominika Radkowska

Wioletta Grzegorzewska – poetka. Urodziła się w 1974 roku w Koziegłowach. Pochodzi z Rzeniszowa (woj. śląskie). Kilkanaście lat mieszkała w Częstochowie, gdzie ukończyła filologię polską na WSP. Opublikowała następujące książki poetyckie: „Wyobraźnia kontrolowana” (Wydawnictwo WSP, 1997), „Parantele” (Wydawnictwo Bulion, 2003) i „Orinoko” (Tyska Zima Poetycka, 2008). W 2006 r. wyemigrowała z kraju. Obecnie mieszka w Ryde na Wyspie Wight. Po publikacji zbioru „Orinoko” krytycy literaccy (np. Karol Maliszewski, Jakub Winiarski) dostrzegli i docenili dojrzałość poetycką Wioletty Grzegorzewskiej plasując ją w czołówce polskich poetek jej pokolenia. Wybrane utwory autorka publikuje na stronie www.literackie.pl.

Tadeusz Chabrowski

Ojciec Waclaw

Komu chciałoby się jeszcze pamiętać moje imię,
które 47 lat temu wypisałem z gimnazjum im. H. Sienkiewicza,
żeby zapisać się do nowicjatu ojców paulinów
w Leśniowie. Wtedy wierzyłem, że otwartymi ranami
Chrystus zbawił świat, złamał grymas śmierci,
diabłu popalił książeczki z zapisanymi grzechami,
setki tysięcy dzieci wyprowadził z otchłani.

Dzisiaj pamięć i sztuczne zęby, które wypełniają
moją jamę ustną, ledwie rejestrują tamte dni;
jestem przesiąknięty klasztorną wilgocią,
cytatami z Tomasza a Kempie's;
świat oglądam przez soczewki grube jak denka
butelek po Coco Coli; moje uszy jak kręgi wodne
ledwie słyszą, co się wokoło dzieje.
Raz na dzień w misce z wodą widzę swoją twarz,
nawet nie wiem, czy się postarzała.

Lekarz mówi, że śmierć może mnie dopaść zniecka,
lepiej zająć się transcendentnymi myślami,
niż wspominać to, co wydarzyło się podczas egzaminu
z religii na maturze. Ze stopniem niedostatecznym
z wiary też można się zbawić.

Tadeusz Chabrowski**Mnisi**

Nigdy nie chciało się nam rąk brudzić zwykłą pracą,
rozłupywaniem kamieni, ścinaniem sosen w lesie;
woleliśmy otoczyć się klasztornym murem
i przepisywać księgi; tekstem z nie pomarszczoną gramatyką
lepiej służyliśmy Kościołowi. Bóg nam świadkiem,
że mądrzejszych od nas wtedy nie było, uczyliśmy się
na grzbietach inkunabułów zawierających nazwy drzew,
najdrobniejsze żyłki liści i tego co Sokrates
opowiedział Platonowi a ten wielkiemu Areopagicie.

Żeby wzbić się na wyższy poziom doskonałości,
praktykowaliśmy cnoty, które nie różniły się w niczym
od praktycznej mądrości stoików.

Przy suto zastawionych stołach z duszonym węgorem,
kurczakami i kiszoną kapustą, czasami zabrakło nam odwagi,
żeby praktykować wstrzemięźliwość; łyk cierpkiego wina
na języku był dla naszego podniebienia ważniejszy,
niż niebiańskie rajskie trawniki zakwitające makolągwami
i stokrotkami.

Wiersze pochodzą z ostatniego zbioru Tadeusza Chabrowskiego *Mnisi czyli nie rymowane strofy o cnotach, które się posiadały nie doglądane przez Kościół* (Nowy Jork 2007)

„Filutek” i „Studnia”

Janusz Mielczarek

Ferment w polskiej kulturze studenckiej, rozpoczęty jeszcze przed Październikiem 1956 roku przez Teatr „Bim-Bom” z Gdańska, w którym zaczynali swój romans ze sceną m.in. Zbigniew Cybulski, Bogumił Kobiela i Jacek Fedorowicz, spowodował także zmiany w całej świetlicowo-zetempowskiej kulturze skupiającej się w szkołach, uczelniach i zakładach pracy.

Pierwszym klubem studenckim w Częstochowie był „Filutek”, który otwarł swe podwoje wiosną 1958 roku. Uwaga, jubileusz! Mieścił się w DS nr 1, przy ul. Kilińskiego (budynek najbliższej dawnego pawilonu Budowy Maszyn Politechniki Częstochowskiej); na pierwszym piętrze zajmował powierzchnię dwóch pokoi „do nauki”. Powstał z inicjatywy ówczesnego studenta Politechniki, prowadzącego Zespół Tańca, Grzegorza Lipowskiego. Dołożyłem do tego swoje trzy grosze, a konkretnie: ozdobiłem wnętrza abstrakcyjnymi malunkami.

Myśl o stworzeniu pierwszego w mieście klubu kulturalnego w zakładzie pracy podchwycił ówczesny dyrektor Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji, Stanisław Nawara, którego mądrości, inicjatywie i uporowi Częstochowa zawdzięcza przyszłościowie – w owym czasie – i niespotykane na taką skalę w Polsce, rozwiązanie tak ważnej dzisiaj dla ochrony środowiska gospodarki wodno-ściekowej. Wystrój wnętrza klubu i zaprojektowanie mebli powierzono Wojciechowi Barylskiemu. W ten sposób w roku 1960 przy ul. Jaskrowskiej powstała „Studnia”. Miałem okazję prowadzić ten klub w latach 1961-1963.

Największym powodzeniem cieszyły się w „Studni” sobotnie i niedzielne wieczorki taneczne, na które obowiązywały karty wstępu. Przygrywał na nich zespół Bogdana Wrońskiego, a wokalistką przez pewien czas była Krystyna Maciejewska, późniejsza partnerka estra-

dowa i żona Janusza Gniatkowskiego. Choć dzielnica była „szemrana”, bowiem wówczas nie było jeszcze nad Wartą obecnych dzisiaj bloków mieszkalnych ale barakowe słumsy, chętnych do zabawy przybywało zawsze ponad komplet. Wprawdzie na początku chłopaki z dzielnicy chcieli mnie, czyli obcemu, spuścić manto, ale dogadaliśmy się i wkrótce kulturalnie bawili się w „Studni” razem z przybyszami „z miasta”. Z tamtych czasów muszę wspomnieć pana Jerzego Romana, wówczas przewodniczącego Rady Zakładowej, mądrego człowieka, mającego dystans do bzdur ówczesnej rzeczywistości.

„Studnia” była też miejscem spektakli Teatru Propozycji, spotkań z aktorami, artystami estrady, przedstawień teatryku dziecięcego itp. Często zdarzało się, że w sobotnie lub niedzielne wieczory ładowali w „Studni” występujący w mieście artyści. Wiosną 1962 roku, po koncercie w dawnym kinie „Wolność”, przybył późnym wieczorem zespół „Czerwono-Czarni”. Muzykom towarzyszyła drobna dziewczyna, którą wypatrzyli wcześniej podczas jakiejś amatorskiej imprezy na Śląsku. W Częstochowie po raz pierwszy wystąpiła z zespołem. Była skromnie ubrana i trochę przestraszona; miała około 20 lat, pociągłą buzię bez makijażu i cienkie, naturalnego koloru włosy. Ta dziewczyna stała się później jedną z gwiazd polskiej estrady - nazywała się Helena Majdaniec.

Fotka do tej historyjki pochodzi ze „studziennego” Balu Galganiarzy w roku 1970, kiedy klubowiczefowała Agata Grzybowska. Bal uświetnił Kabaret „Elita” z Janem Kaczmarkiem i Tadeuszem Drożdżą na czele. A jak się bawiono – widać!



Zbislaw Janikowski

Jadą goście, jadą...

*Jadą goście jadą
wedle mego sadu,
do mnie nie przyjadą,
bo nie mam posagu...*

Tak za moich bardzo młodych latych śpiewało „Mazowsze”. Uroczą pioszeczkę słyszało się wszędzie, przede wszystkim w radiu, a to grało u nas w domu od rana do wieczora. Radio słychać było też w całym mieście, gdyż transmitowało swój program przez miejski radiowęzeł, a ten miał sieć rozwieszonych głośników. Praktycznie piosenkę „Mazowsza” słyszał każdy co najmniej kilka razy dziennie, w efekcie znał ją na pamięć. Do dziś dźwięczy mi w uszach, gdy przychodzą goście, szczególnie wtedy, gdy zjawiają się goście niespodziewani. W czasach, których sięgają moje wspomnienia, goście walili drzwiami i oknami, i prawie zawsze byli niespodziewani.

Zaczęło się to wszystko jeszcze w czasie Drugiej Wojny Światowej - a tego przyznaję nie pamiętam - zaraz na jej początku. Na pewno bez uprzedzenia zjawili się moi dziadkowie, rodzice mamy, wysiedleni (nikt nigdy nie mówił, że wypędzeni) przez Niemców z własnego domu pod Sieradzem. Prastara polska kraina - ziemia sieradzka - zmieniła się wtedy w „rdzenne” terytory niemieckiej Tysiącletniej Rzeszy - Kraj Warty. To byli moi pierwsi zapamiętani goście, goście a zarazem nie goście, domownicy, zastani w moim domu - z nimi rosłem, wychowywałem się. Zniknęli zaraz po wojnie, tuż za przesuwanym się na zachód frontem poszli ratować co się dało z wojennej zawieruchy.

Wcześniej jednak byliśmy razem przez długie pięć lat. Babcia pomagała w prowadzeniu wojennego gospodarstwa, a że znała liczne oszczędnościowe sposoby na życie, sposoby zachowane w pamięci jeszcze z poprzedniej nie mniej ciężkiej i okrutnej wojny, była nieocenioną pomocą, doradcą, a jej spokój i opanowanie okazały się bardzo potrzebne w tych najtrudniejszych latach. Zachowały się stare fotografie robione na spacerach po naszych parkach, a w mojej pamięci została babcia - siedząca przy okrągłym stole w „stolowym” pokoju, z drewnianym grzybkim w jednej i igłą do cerowania w drugiej ręce, lub z ogromnym nożem, którym obierała bardzo cieniutką skórkę z jabłek. Podziwiałem nieprzerwane węże jabłkowej skórki, podobnie jak węże z obieranych ziemniaków, tyle że te ostatnie obierała w kuchni. Przed Bożym Narodzeniem z benedyktyńską cierpliwością nizała

na cieniutkie druciki lub niteczki kolorowe koraliki, by z nich wyczarować przeróżne choinkowe ozdobne łańcuchy, nastroszone kolorowymi igłami języki, koszyczki, motylki i inne cudelnka. Pamiętam wigilijną wieczernę i skrupulatną dhubaninę babci przy ugotowanym rybem łbie, gdy z maleńkich kosteczek (czy łeb ryby zbudowany jest z kości czy ości?) układała na białym świątecznym obrusie narzędzia Męki Pańskiej. Słuchałem też wieczorami długich babcynich opowieści o latach jej młodości spędzonych w wiejskich dworach, o karnawałowych zabawach, kuligach, polowaniach, ale i o pracy w gospodarstwie, o wyprawach na jarmark po pierwsze prawdziwe buty, o wojnie (pierwszej światowej) i ucieczce ludzi z płonącego Kalisza - o wszystkich tych wydarzeniach nie miałem wtedy zielonego pojęcia, dopiero po latach, w miarę zdobywania wiedzy, przypominały się znowu, ulokowały w pamięci z na wół wymaginowanymi obrazami.

Drugim niezmiernie ważnym gościem był dziadek. Wolny, niezależny człowiek, ukształtowany i żyjący w innym świecie, towarzyski, niegdysiejszy wspaniały myśliwy, dusił się w atmosferze przeludnionego wojennego mieszkania, rygorów godzinny policyjnej, zaciemniania okien po zmierzchu, kartkowych ograniczeń żywnościowych. Szybko nawiązała się między nami swoista symbioza; on był dla mnie nauczycielem, ale i obrońcą przed ciągle strofującymi mnie mamą i ciotkami, ja dla niego parawanem, za którym krył różne „nienicne” postępkę, a to, gdy we dwójkę wymykaliliśmy się na długie wyprawy aż za Jasną Górę do Grubego Józia, na Rynek Wieluński na spotkania z dziadkowymi znajomymi, nawet na Zawodzie, gdzie hodowcy prezentowali przepiękne gołębie, okazałe „króle”; nie było wtedy dla mnie tajemnic w rozpoznawaniu szynszyli, angorskich czy innych rasowych i pozarasowych okazów. Dziadkowi słabość do wnuka zakończyła się w tym przypadku kompletem króliczych bielusińskich skórek, z których uszyli mi na następną zimę pierwsze i, jak się później okazało, moje ostatnie futro. Inna dziadkowi słabością był udział we wszystkich wymyślonych przeze mnie zabawach. Posłusznie wykonywał wydawane przeze mnie komendy (w tym „padnij, powstań”) oraz jakże trudne „prezentuj bron” (wzorce musztry brałem zza okna, oglądając ćwiczących niemieckich żołnierzy), nie przeszkadzała mu w tym nawet „ruptura”, na którą cierpiał. Ochocho poddawał się powszechnie znanemu Polakom rozkazowi „Hande hoch!” i maszerował przede mną, małym fąflem, wokół stołu z uniesionymi rękami.

Jako tako poukładane wojenne życie zakłócił najazd gości popowstaniowych, uciekinierów z Warszawy. Ilość mieszkańców w naszych dwóch pokojach gwałtownie wzrosła; z późniejszych relacji wiem, że do obiadu zasiadało jednorazowo 17 osób, ale gdzie to wszystko spało, nie wiem. Pamiętam natomiast drewniane, składane na dzień, połowe łózka, jakies

materace czy może sienniki rozkładane na podłodze w przedpokoju i pokojach (bardzo podobało mi się miejsce pod stołem), moje łóżeczko na kółkach też przesuwali z kąta w kąt, a tego już bardzo nie lubilem.

Jedyną w miarę spokojną enklawą była domowa kuchnia. W niej zamieszkiwała Pela, dziewczyna, jak byśmy dziś powiedzieli: pomoc domowa. Trafiła do nas wraz z wysiedlonymi przez Niemców dziadkami i, trzeba przyznać, była w tych warunkach prawdziwym skarbem, niemal członkiem rodziny. Spała na żelaznym łóżku w kuchni i nikt nie miał tam prawa wstępu (poza mną), zresztą kuchenne życie zaczynało się bardzo wcześnie: od rozpalania w piecu i nastawienia wielkiego czajnika z wodą na wojenną zbożową kawę (nawet herbata była nieosiągalnym luksusem); trzeba pamiętać, że nie było wtedy sieci gazowej, czajników elektrycznych, kuchenek mikrofalowych ani innych cudów techniki. Potem wstawali kolejni noclegowicze, coś tam jedli i po kolei wychodzili do swoich zajęć. Najpóźniej wstawałem ja i dziadek, siedzieliśmy razem przy kuchennym stole jedząc śniadanie. Do dziś doskonale pamiętam urok tych chwil, śnieżną zimę, malowane w mroźne kwiaty kuchenne okna, dziadek w koszuli i spodniach na szelkach, pochyłony nad kubkiem „kawy” z mlekiem, do której kruszył kęsy chleba. Najdziwniejsze były dziadkowe siwe wąsy, umoczone w brunatnej cieczy, kapiące z nich krople a czasami przylepiony kawałek mlecznego kożucha – bardzo wtedy chciałem tak właśnie wyglądać. To moje pragnienie dziadek umiał też zrealizować, gdy raz na kilka dni kuchenny stół zamieniał w golarnię. Rozkładał ręczniki, miseczki z wodą, mydło do gołenias, pędzle, brzytwy (a do jednego golenia używał chyba trzech).

Brzytwy wywieszane na pasku od spodni ciężko trzymane w palcach włoś niczym Kmicicowa szabla, ja na cały ten rytuał patrzyłem jak urzeczony, a już szczytem szczęścia były nałożone przez dziadka na moją buźkę białe mydlinowe wąsy a czasami i broda. I ten

wieczny stoicki spokój dziadka, i jego niezapomniane powiedzenie dotyczące mnie: „Dajcie mu spokój, na pewno z tego wyrosnie”.

Niezależnie od natłoku domowników, od ograniczeń spowodowanych godziną policyjną, od stosowanego przez okupanta terroru, toczyło się w miarę normalne życie towarzyskie, przychodzili znajomi, ciotki, sąsiedzi, czasami zupełnie nieznanymi ludźmi. Ci ostatni przynosili skądś informacje z obozu od ojca lub o ojcu, czy innych zagubionych gdzieś w świecie członkach rodziny i znajomych. Przeważnie przy takich odwiedzinach zamykali się przede mną, szepotali, płakali, przeklinali, nie wiedziałem, o czym radzą, co ich gnębi, czułem jednak, że są to sprawy ważne, a nawet bardzo ważne. Czasami udało się usłyszeć fragmenty niektórych rozmów, zawsze był w nich element jakiejś tragedii: o kimś aresztowanym, wywiezionym, rozstrzelanym, o zamachach i akcjach podziemia, o szmalcownikach (długo nie mogłem dowiedzieć się, o co chodzi w tym przypadku), Jędrusiach, ofensywach, inwazjach, ewakuacjach i innych problemach czasów wojny. Ciotki nie robiły natomiast tajemnic ze zwykłych plotek i tak zapamiętałem historijkę o pani, która poszła do fryzjera farbować włosy – w tamtych czasach kryło się za tym ogromne ryzyko – i wyszła zielona. Moją wyobraźnia pracowała na całego – zielonowłosa kobita; nawet ruda, była wielką rzadkością. Innym razem sensacją był pożar w sklepie z lalkami w Alei, tam gdzie była siedziba przedwojennej KKO (obok mostu i dawnego szpitala), spłonęły celuloidowe lalki, nawet te „śpiące”. Tragedia lalek mało mnie obszła, zmartwili mnie los ołowianych żołnierzyków, którzy ulegli stopieniu.

Koniec wojny szybko wymiół niemal wszystkich wojennych gości, wyjechali dziadkowie zabierając nieodżałowaną Pelę, zostały może ze dwie ciotki, późną wiosną wrócił z niewoli ojciec, ale wtedy już mieliśmy cały szereg innych gości. Przyszli w ślad za frontem. Wojsko lokowało na kwaterach oficerów ze stacjonujących w mieście jednostek wojskowych. Było to zwyczajne w czasach wojny postępowanie. Na jakiś czas nasz stółowy pokój zajęło dwóch oficerów w polskich mundurach, nie byli zbyt uciążliwi: przychodzili wieczorami, rano znikali. Nie powiem, jak długo to trwało, w końcu jak to w wojsku bywa, przeniesiono ich gdzie indziej, odeszli. Kilkakrotnie bywałem w ich kwatery, czyli w stołowym, byli mili a nawet serdeczni. Czestowali mnie wspaniałymi kielbasami, które nie wzięcie skąd brał, wojskowym czarnym chlebem polewanym płynnym miodem, a nawet wódką a może samogonem. Tego nie wytrzymała nasza Pela, która namiętnie podsłuchiwała pod zamkniętymi drzwiami, wpadła i nie zważając na oficerskie szlify, trzymaną w rękę kuchenną ścierą waliła po niezbyt trzech oficerskich łbach.



St. lejtnant Goburiew mieszkał u nas długo...

Zapisana w wojskowych papierach kwatera, czyli nasz pokój stołowy, wkrótce otrzymał nowego lokatora. Był nim rosyjski oficer, lejtnant Goburiew. Jego nazwisko odczytałem po latach z dedykacji wpisanej na pozostawionej na pamiątkę fotografii. Lejtnant mieszkał u nas dość długo, w każdym razie spotkał się już z moim ojcem, który wrócił z lagru Sachsenhausen–Oranienburg. Zaraz zabrał się do roboty i szybko wyszkolił pana gościa w prawidłowym korzystaniu z sanitariatu, zresztą ten nie wstydził się swojej niewiedzy, powtarzał: u nas w kolchozie tego nie mamy. Nie było już wtedy Peli, zastąpiła ją inna dziewczyna, a ta zakochała się w zwycięskim „gieroju”. Gdy odjechał, płakała po nim rzewnymi łzami, ale tylko do niedzieli. W niedzielę miała już inny powód do płaczu, okazało się bowiem, że zakochana obdarowała odjeżdżającego lejntanta ojcowskimi, jeszcze przedwojennymi dwoma najlepszymi garniturami. Nie pamiętam, w czym ojciec poszedł na niedzielną sumę, ale wiem na pewno, że słoneczna niedziela zmieniła się w wyjątkowo burzliwą.

Odzyskanie niepodległości, swoboda poruszania się, potrzeba dziękczynienia lub szukania pomocy u Jasnogórskiej Pani zaowocowała u nas tłumem przyjezdnych gości. Drzwiami i oknami walila bliższa i dalsza rodzina, dawni i najnowsi (wojenni) znajomi, przyjeżdżali z daleka i blisko. Jedni przychodzili tylko w krótkie odwiedziny, pokazać się, pogadać, wypytać o wojenne losy, ci z daleka szukali bazy na krótki wypoczynek w długiej i uciążliwej podróży, często noclegu. Jedyłą funkcjonującą jako tako komunikacją była wtedy komunikacja kolejowa. Korzystanie z jej usług stwarzało jednak pewne ryzyko. Okaleczona w działaniach wojennych, nieprzystosowana do nowych warunków, działająca na znacznym obszarze kraju w poniemieckiej strukturze organizacyjnej, bez nowego sprzętu, przy niedoborze kadr – działała jak działała.. Kto dziś uwierzy, że odległość stu kilkudziesięciu kilometrów pokonywało się w pół dnia lub dłużej, przesiadając się kilkakrotnie na różnych „węzłowych” stacjach, oczekując na połączenia, wertując rozkłady jazdy w poszukiwaniu alternatywnych szybszych połączeń.

Nie ma się zatem co dziwić, że przyjazd do Częstochowy był wyprawą a zarazem rodzinnym świętem. Zwaląca się zatem kilkusobowa pielgrzymka, wyposażona jak na długą wyprawę w dziewczęce, niezamieszkałe tereny i biwakowała co najmniej pełny dzień. Oczywiście, goście przwozili sownie zaopatrzone

nie, od wiejskiego chleba poczynając, przez własnoręcznie robione masło, prawdziwe „wolne” za życia kurczaki, domowego wyrobu szynki, kielbasy, salcesony, o własnych pomidorach, ogórkach a nawet młodych ziemniakach mówić nawet nie warto (no, może poza ziemniakami – w tamtych czasach nikt nie stosował intensywnych upraw i pierwsze młode ziemniaki pokazywały się w połowie lipca). Oczywiście cały „frazuimer” zajmował się przyrządzaniem wystawnych obiadów i kolacji, za wyjątkiem śniadań, kiedy to cała przyjezdna kompania gnała na czczo, o szóstej rano, na Jasną Górę, aby uczestniczyć w odsłonięciu Obrazu, porannych nabożeństwach, wielkiej jasnogórskiej spowiedzi, pokutnej Drodze Krzyżowej i jeszcze kilku kolejnych mszach świętych przed Cudownym Obrazem. Wracalo to towarzystwo na obiad (a jadało się wcześniej, o pierwszej): rozsunięty stół nakryty wykrochmalonymi na sztywno przedwojennym żyrdardowskim żakardowymi obrusami, zastawiony wystawną zastawą stołową, obfity w wymyślne zakąski i przystawki, zastawiany kolejno wazami z co najmniej dwoma rodzajami zup, półmiskami z pieczystym, salaterkami ziemniaków, mizerii, salaty, aż po deserowe kompoty, ciasta, herbatę i – rzadkość nad rzadkościami - cytrynę do tej herbaty. Najedzeni i syci goście odpoczywali, rozmawiali, dzielili się wojennymi wspomnieniami, politykowali. Jakże często słyshałem zupełnie nieznanie mi nazwiska Mikołajczyk, Bierut, Gomułka i śpiewnie, rytmicznie brzmiące zbitki Rola–Żymirski, Osóbka–Morawski, Jan Dąb–Kocioł, nazwiska dziś już zapomniane a zarejestrowane w mojej dziecięcej pamięci.

W pamięci utkwiła mi scena, która rozegrała się podczas wizyty kuzynów mojej mamy. Zaraz po ich przyjeździe, gdy wszyscy siedzieli wokół stołu przy herbacie, w przedpokoju rozległo się donośne kwa-



Okupacyjne śnieminy. Na stole ubogo, ale humory doskonałe

SENTYMENTY

kanie i do pokoju wkroczył dumnie ogromny, strojny zielonym łbem i kolorowymi piórami skrzydeł kaczkę, prowadząc za sobą szarą, ale również dorodną kaczkę. Tałatajstwo to uwolniło się z bagazy ciotki Wandy i przeszło na pokoje zademonstrować swą urodę. Nie obeszło się bez napaskudzenia (jako że jest to specjalność żywych kaczek) i ogólnego rozgardiaszu oraz zachwyków - autentycznych - nad urodą i wielkością kwaczących gości. W końcu wszystko skończyło się dobrze, choć nie dla kaczek, bo posłużyły następnego dnia na wspaniałe pieczyście z jabłkami i jeszcze bardziej wyszukaną czerminą. Przyznaję, że w tym czasie nie byłam amatorem tej wysublimowanej i wykwintej zupy, ale dziś przyjąłbym każde zaproszenie na taką ucztę.

Wieczór w towarzystwie rodzinnych gości, to oczywiście wystawna kolacja, domowa wiśniówka i cytrynówka (na prawdziwych cytrynowych skórkach, które ojciec wcześniej odpowiednio przygotowywał, pozabawiając zupełnie białego mięszu i krojąc w cieniutkie paseczki), znowu ciasta. I karty. Chciałem, aby dopuścili mnie do karcianego stołu, ale panujące surowe rygory nie pozwalały, choć gra była raczej nieskomplikowana, jakiś „dziewiąty wał”. Odbijałem sobie to przy dorocznym wakacyjnym rewizytach, gdy kto inny a nie mama, kierowała ogólnym porządkiem.

Innego typu goście i w zupełnie innych porach roku przyjeżdżali z Warszawy. Wujek Antek z ciotką (jak miała na imię?) i jeszcze ich syn (Andrzej?) nie przywozili żadnego prowiantu, zapraszali za to do cukierni na lody, ciastka i inne łakocie. Wuj z ojcem siedzieli przy stole do białego rana, nie było ich widać w kompletnie

zadymionym pokoju, nie pili też domowych nalewek, a tylko monopolowe wyroby: jakieś Cacao - Choix, Curacao i jeszcze coś podobnego. Panie w ciepłej kuchni omawiały różne rodzinne wydarzenia, ja z Andrzejem bawiliśmy się tym, co na co dzień było prawie nieosiągalne - poniemiecką kolejką elektryczną, którą o ile dobrze pamiętam, udało się uruchomić tylko raz, za sprawą wuja Antosia; wywaliło korki na pionie.

Z Warszawy przyjeżdżała także ciocia Jasia, kobieta światowa, warszawska „bisneslomen” tamtych czasów. Prowadziła wielki handel aparaturą rentgenowską, załatwiała interesy ze szpitalami, a przy tym znajdowała czas na rodzinne spotkania, poranne wyprawy na Jasną Górę, długie nocne rozmowy i oczywiście grę w karty, a grywała namiętnie i we wszystko, zaś współgrający odchodzili od stołu z pustymi kieszeniami. Ciocia Jasia nie chodziła jak inni piechotą, zawsze i wszędzie pędziła dorożką a później taksówką, zawsze w ręce, w długiej szklanej cygarnicze, trzymała amerykańskiego papierosa, zawsze też przywoziła ogromne pudła sławnych a u nas nieosiągalnych wedlowskich czekoladek, a dla mnie torbę równie wedlowskich cukierków. „Lodowce”, bo tak się zwały, owinięte w przezroczysty celofan, o wspaniałym orzeźwiający, mocno kwaskowym owocowym smaku, są już dziś tylko jednym z wielu wspomnień z dzieciństwa.

Wielki najazd gości przytrafił się na przełomie stycznia i lutego 1956 roku. Byłem już w maturalnej klasie w Traugutcie i w domu spadały na mnie bardzo



liczne obowiązki. Wtedy to wypadła 25 rocznica ślubu moich rodziców, szykował się wielki, niemal ogólnopolski rodzinny zjazd. Oczywiście, zostałem wykwaterowany z domu do jednego z moich koleżków, ale w wielu sprawach byłem nie tylko pomocny, ale wręcz niezastąpiony. Zima była wtedy jak w piosence dla dzieci „...hu, hu ha / nasza zima zł...”, mroź paraliżował połowę kraju, druga połowa była i tak sparaliżowana przez niesprawne instytucje i ludzkie leniwość, szkołę zamknęli na kilka dni (nam, szkolnym ewaniam, zimno w klasie nie groziło, pod nauczycielską katedrą zgromadziliśmy nielegalne zapasy węgla podkradane szkolnemu woźnemu i w klasie panował iście tropikalny upał), kazali siedzieć w domu i „kuć”, bo matura za pasem. Był to fatalny błąd pedagogiczny, bo jak w taką zimę nie korzystać z jej dobrodziejstw, na naukę pozostawały wieczory, a tu w domu wielkie przygotowania do jubileuszowego „jublu”. Sprzątanie, wiorkowanie podłóg, pastowanie, trzepanie dywanów na śniegu (to ja), zwiększone dostawy węgla z piwnicy (ja) i oczywiście gotowanie, smażenie, pieczenie; czegoż to mama nie przygotowywała, bo nie tylko główne przyjęcie ale i dodatkowe śniadania, obiady i kolacje (niektórzy goście rozbili u nas obóz na kilka dni). Samych śledzi musiało się pełne wiaderko (informacja dla nieswiadomych: innych śledzi jak zwykle solone prosto z beczki na rynku nie było), ogromna szynka peklowała się od świat, inne wędliny miał dowieźć wuj, specjalista od ich wyrobu, kurczaki, wcześniej sprawone oczekiwały w domowej lodówce, czyli na mrozie za oknem, ryby w galarecie zastęgały w tym zimnie błyskawicznie, ciotka, która zjawiała się kilka dni wcześniej z wielkimi tobołami pełnymi wiejskich dóbr wszelakich, czyściła flaki, nim poddano je dalszej obróbce, czyli gotowaniu, krojeniu itd., wyrabiła makarony, kroila całe michy jarzyn na sałatki, ucierała majonezy i Bóg wie co jeszcze.

Wreszcie nadszedł czas przyjazdu gości, a tu tragedia, mroź sparaliżował kolej, pociągi miały opóźnienia, telefonów komórkowych nikt jeszcze nie wynalazł a i zwykłych stacjonarnych praktycznie nie było. Noc w wigilię uroczystości zapadała, a tu gości ani widu ani słyhu. Rada w radę uradzili, że trzeba czuwać nad wszystkim i wysłali mnie na wysunięty posterunek obserwacyjny. Zostałem zwiadowcą na dworcu kolejowym. A wierzyć mi, nie było to łatwe ani przyjemne. Częstochowski dworzec główny tamtych czasów w niczym nie przypominał dzisiejszego. Budynek dworcowy miał wejście do głównego holu od ówczesnej Świerczewskiego (czyli Piłsudskiego), w czterech narożnych okienkach były kasy biletowe, a na wprost wejścia głównego - wyjście na perony. To już stwarzało zagrożenie nieustającymi przeciągami a jeszcze dodać do tego blisko stuletnie rozklekotane drzwi i nieszczelne okna, można mieć pojęcie o panującej tam tempe-

raturze. Wprawdzie z bocznego korytarza wchodziło się do w miarę obszernej poczekalni, ale z niej było bezpośrednie wyjście na peron, więc z dworu też ciągnęło mrozem. O miejscu siedzącym nie było nawet co marzyć, bo wszędzie kocowali jacyś zamrożeni podróżni. Restauracja dworcowa była wyprzedażna do ostatniego herbatnika a i z herbatą były już kłopoty. Czekałem, poznawałem nocne dworcowe życie, bo przydworcowe, o wiele ciekawsze, tęgi mroź zgasił zupełnie. Od czasu do czasu przyjeżdżał jakiś pociąg, którym przybywali kolejni podróżni, tłum gęstniał, bo pociągów, które wywoziłyby choćby część oczekujących widać nie było. Kręcili się, a raczej chowali po różnych pakamerach, kolejarze, sokiści, milicjanci. Zawiadowca, wbiły w potężny kożuch, znad którego wystawała tylko czerwona kolejarzka czapka, od czasu do czasu wychodził z ciepłej dużyurki, przebiegał się przez gęsty zamarznięty tłum, by wyjść na pusty peron i odprawić towarowy; osobowe nie pojawiały się.

Wreszcie, około drugiej przyjechali moi goście, niestety nie wszyscy. Jak odnaleźliśmy się w tej ludzkiej ciżbie nie wiem, dobrze, że na tym mrozie zdobyłem dorożkę. W domu okazało się, że zaginięni od dawna są na miejscu, jakimiś przesiadkami przez Herby i nocną wędrowkę po lesie do drugich Herbów, szczęśliwie dotarli na dworzec Stradom i na koniec, po długim zimowym rozgrzewającym nocnym marszu na orientację, dotarli do nas.

A potem było huczne srebrne wesele. Na szczególnie wyróżnienie wśród licznych gości naszego domu zasługuje stryj, nazwijmy go: delegacyjny. Był starym przedwojennym leśnikiem i corocznie przyjeżdżał na kontrolę w podczęstochowskich leśnictwach. Hotele w tamtych czasach były nieosiągalne, a może zbyt drogie, dość że stryj instalował się u nas na kilka tygodni. Nie powiem, aby było to dla mnie mile, tym bardziej, że spał ze mną w jednym pokoju. Najpierw rozkładał na stole stopy swoich papierów, liczył z trzaskiem na wielkim drewnianym liczydło (nikt wtedy nie miał żadnych liczących maszyn), kończył przed kolacją, potem miło gawędził z ojcem, wreszcie szedł spać, ale przeszkadzało mu wszystko: lampka przy której czytałem, jak który jak to jest w kocich zwyczajach laził po nocy, lejąca się za ścianą woda w łazience. Nie powiem, żebyśmy go nie lubili, ale gość jak ryba, po kilku dniach staje się uciążliwy. Lojalnie muszę przyznać, że dzięki niemu jadłem pierwszą szynkę i najprawdziej zrazy z dzika, bo zające w naszym domu nigdy nie były rzadkością (dopiero teraz ich nie jadamy – po prostu ich nie ma).

O gościach imiennowych, sąsiadach, znajomych wypadających na kilka słów w najmniej odpowiednim momencie, nie będę opowiadał – każdy to zna.

Zbislaw Janikowski

Siadaj na rower

Janusz Piernikarski

Idzie wiosna. Idzie i się potyka, bo co i raz temperatura spada. Niemniej już niedługo będzie można rozpocząć wyprawę na rowerze. Są wprowadzić tacy, którzy i zimą nie rezygnują z ulubionego dwukołowego środka transportu. Mają swoje sztuczki, aby unikać poślizgów (szeroka opona, wąska dętka – powiedział mi kumpel). Jednak dopiero wiosna daje możliwość poszaleć na większą skalę. Bo co to za przyjemność, pedałowac pod górę przy minusowej temperaturze? Ubierzesz się lekko, to przeziębienie gotowe. Założysz coś cieplejszego – zgrzejesz się, i też przeziębienie gotowe. Wiosną to co innego.

Należę do kolarzy-samotników, więc nie angażuję się w przedsięwzięcia subkultury rowerzystów. Raz tylko byłem na kolektywnym przejeździe Alejami. Uczestniczył w nim sam Prezydent Miasta, który chwilę wcześniej dokonał uroczystego odsłonięcia stojaka na rowery na Placu Rady Europy. To ładnie ze strony prezydenta, że angażuje się w działania na rzecz poprawy infrastruktury rowerowej w mieście, tym bardziej, że Częstochowa pozostaje pod tym względem w tyle za takimi miastami, jak Kraków. Oczywiście, podawane w różnych źródłach długości naszych ścieżek rowerowych mogą robić wrażenie, jeżeli nie wie, że ścieżki te nie łączą się ze sobą.

Mam już kilkanaście lat doświadczenia w jeździe „na kole”. Zaczynałem od składaka typu „Pelikan”, przesiadłem się na trochę większego „Flaminga”, potem na damkę z futrzanym siodełkiem, a początek XXI wieku przyniósł mi rower górsko-terenowy. Oczywiście, różne elementy należało dokupić: a to pompkę, a to dzwonek, a to drugą pompkę, a to lampki, dzięki którym popołudniowe wyjazdy przestały się wiązać z obawą, że nie zdążę do domu przed zmierzchem. Mimo braku fachowej obsługi mechanicznej, moja „maszyna” nie sprawia kłopotów. Najczęstszą awarią było przebicie opony. Umieć to naprawić, ale nienawidzę moczyć

dętkę w umywalce, aby po uciekających pęcherzykach zlokalizować ubytek. Dlatego po każdej „gumie” zwykle mam przerwę.

Przez ładnych parę lat jazdy moje upadki można policzyć na palcach u rąk, a większość z tego miała miejsce w ciągu pierwszego sezonu. Jeśli chodzi o inne niebezpieczne sytuacje: raz, gdy wypuściłem się na poszukiwanie ulicy Częstocha, zraniła mnie w nogę osłona zębarki. Nikogo, jak dotąd, nie potrąciłem. Raz miałem zderzenie z psem, ale to jego wina. Chciałem wyminąć, a on rzucił się z boku i trafił mnie w przednie koło; żaden z nas nie odniósł obrażeń. Biorąc pod uwagę moje zamiłowanie do szybkości – chyba moge się nazywać ostrożnym.

Nikogo nie przejechałem, ale czasem miałbym ochotę. Jeśli tylko jest to możliwe, jeżdżę po ścieżkach wyznaczonych dla rowerów. Gdy muszę zjechać na drogę dla pieszych, staję się ostrożny w dwójnasób. Zatem czemu, do diabła starego, piesi nie postępują podobnie, tylko ładują się na drogi dla nich nieprzeznaczone i chodzą sobie jak basza? Któregoś razu doszedłem do wniosku, że cykliści są dyskryminowani zarówno przez kierowców, jak i pieszych: bo to taki ni pies, ni wydra, i właściwie należy ich uważać za „mniejszość transportową”.

Zalóżmy, że wiosna przyszła. Co zabrać na wyskok kolarski? Po pierwsze, pompkę. Jeśli jest metalowa, sprawdzi się w zakazanych dzielnicach. Po drugie, zapieć z zamkiem szyfrowym lub na klucz, albo nawet dwa. Po trzecie, mapę obszaru. Po czwarte – ciekawe nakrycie głowy: raz, że chroni przed słońcem, a dwa, że można epatować mieszczan. A jeśli uważasz, że do szybkiej jazdy godzi się jedynie kask, można go też ozdobić, na przykład naciągając nań czarne rajstopy, które w czasie jazdy będą powiewać jak labry.

A w jakiej to rejony można zabrać na rowerze! Niekoniecznie trzeba planować długodystansowe trasy po całej Jurze. Sama Częstochowa odkrywa wiele tajemnic człowiekowi na dwóch kołach. Chcesz się dowiedzieć, jak wygląda ulica Lermontowa, Walcowników czy Busolowa? Nie ma sprawy. Odkrywa się ciekawostki krajobrazowe i architektoniczne. Przypominająca meksykańskie slumsy ulica Mielczarskiego, zwietrzały asfalt odstaniający kocie lby na Senackiej, sielskie i spokojne pola Sabinowa, tchnąca intelektualną wyniosłością strefa między Kilińskiego a Armii Krajowej... Nie byle jakich emocji może dostarczyć zjazd ulicą Baczyńskiego wzdłuż Szkoły Podstawowej nr 2 w kierunku Promenady Niemienna, czy też ostatnim odcinkiem teje Promenady – od mostu nad Fiedorfa-Nila do Łasku Aniołowskiego. Dla ludzi o mocnych nerwach przeznaczona jest ulica Borelowskiego – od upodobań załęży, w którą stronę. A takie epizody jak wtedy, gdy jadąc z Cmentarza Komunalnego w stronę Tysiąclecia, zablądziłem na dzikiej Kawodrzy, gdzie nazwy ulic nic człowiekowi nie mówią (było zaś już blisko zachodu, a ja nie miałem lampki) – długo wspomina się z dreszczem.

Rowerowe wojaże po naszym mieście mogą mieć aspekt kulturalny. Sam tego doświadczyłem, gdy pewnego dnia wjechałem w ulicę Partyzantów, kluczyłem wśród starych kamienic, i w końcu wyłoniłem się z kraków... na tyłach Miejskiej Galerii Sztuki.



Fot. Janusz Piernikarski

Piotr Głowacki

Ona i on według Judyty Bernas

Wnętrze jest jedynie faldem zewnątrz
G. Deluze



Strukturę świata postrzegamy jako heterogeniczną. W obiektach Judyty Bernas ma ona swój odpowiednik w konstrukcji dzieła. Tworzą ją bowiem dwie płaszczyzny, ale stykające się luźne, przeznaczone oddzielnie na wizerunek kobiety i mężczyzny.

Jedność stanowią dopiero i wyłącznie na poziomie optyczno-wrażliwym. W odniesieniu do tematu i treści swoich prac artystka mówi, że pokazują relacje panujące pomiędzy kobietą a mężczyzną, czasem ukazują bliskość i jedność, czasem osamotnienie. Ale, jak wszelkie formy wizualne w obszarze sztuki wysokiej, otwierają wielowarstwową przestrzeń interpretacyjną.

Współczesny nam moment przemian w sztuce, których składową są hydromatowe fotografie Judyty Bernas, cechuje się skokową i silną tendencją do redefinicji dzieła i przewartościowań w obrębie jego operacji znaczeniowych. Są one zapewne najczulszym miernikiem już zaszłych, a także zbliżających się, zmian w sytuacji antropologicznej i w ludzkim środowisku.

Sztuka najnowsza jest polifonicznie złożona, składa się na nią wiele frapujących w charakterze nowości. Wyraża nowe konteksty kulturowe. W większości przykładów w obrębie danego artefaktu kuszą one wyszukana grą wizualnych znaczeń i nakładających się, prowadzonych w sposób wyrachowany, narracji. Ich koncepcje i ujawniające się w działaniach artystów manifestacje, są trudne do całkowitego zrozumienia. Jak w całej sztuce, od zawsze.

Judyta Bernas opisuje świat poprzez ciało (akt), czyni to w klasycznej formie, ale odrotnie od tej tradycji (akademickiej), która opisywała człowieka poprzez jego samego i zdominowany przez niego świat. To bardzo istotny i domiślny moment zmiany. Jednak w przypadku Judyty Bernas ciało ludzkie ma bardziej sentymentalne konotacje, niż na przykład jak ma to miejsce w sztuce krytycznej czy malarskim popbanalizmie. Jest wtedy ilustracją niejako naturalnego przedmiotu niewyróżniającego się niczym spośród wielości innych przedmiotów, albo tylko wyłącznie będącego biologicznym materiałem doświadczenia i zapisywania bólu.

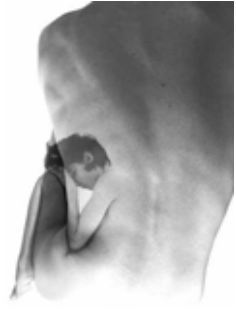
Zdecydowaną zaletą inscenizacji przestrzeni poprzez własne obiekty jest u Judyty Bernas pierwszoplanowość koncepcji (zamysłu) i skrupulatne dostosowanie do niej formy figury ludzkiej. Artystka przestrzega w tym względzie dyscypliny elementów estetyczno-wizualnych, co pozwala na silną koncentrację percepcji. Jej nowy język formy nie ma przy tym ciężkiego w przekazie naturalizmu. Pozwala to na zachowanie swobody kreacji poruszającej się jednak zdecydowanie w obrębie jakości kanonu estetyki klasycznej (europejskiej-śroziemnomorskiej) i trawestującej tenże.

A właśnie formy piękna czynią sztukę.

Wizerunki kobiety i mężczyzny Judyty Bernas są par excellence odbiciem binarności życia. Rodzi ona wszelkie możliwe relacje, takie jak: mowa - zaprzeczenie - dopełnienie w dialogu (ale też zerwanie). Lub na poziomie bardziej abstrakcyjnym: teza - antyteza - synteza (lub dwutorowość).

Artystka reaguje na sytuację, sonduje ją i daje jej wyraz. Jej czynnikami są niezwykłość technologii z jednej strony, z drugiej natomiast pewna niezmienność, nieredukowalność biologiczna istot, ich fizyczność i samotność. Obecne jest też przywołanie roli pierwiastka mentalnego i badawca nad nim refleksja. Opowieść egzystencjalna snuje się bowiem nieustannie i Judyta Bernas we własnej wypowiedzi faktami artystycznymi daje jej ciekawą i uniwersalizującą wersję.

Wspomniane wcześniej możliwości czytania obiektów kryją pokłady interpretacji dotyczących przewrotnie niejako podklejających się, nakładających się jak plansze aktów, warstw znaczeniowych. W których myśl krąży wokół potencjalnej jedni więcej niż androgicznej i uświadamia sobie dialektyczną (na różne sposoby złożoną) i dynamiczną naturę zjawisk. Tkwi tu też przeczuje jedności sztuki, która nigdy nie ucieknie od świadomości rozpoznania zadowolenia i lęku, ale próbuje ją przewyższyć w swym iluzyjnym świecie.



Po cmentarzu ewangelicko-augsburskim

Muzeum Częstochowskie i Towarzystwo Przyjaciół Częstochowski wydało książkę **Juliusza Sętońskiego „Cmentarz ewangelicko - augsburski w Częstochowie: przewodnik biograficzny”**, która jest konsekwentnym, pełnym skrupulatności i docieklivosti kontynuowaniem tematyki interesującej autora „Cmentarza Kule w Częstochowie”. Tematyki dla historyka fascynującej, choć niełatwej, za to dla czytelnika ważnej, bo przybliżającej niedaleką, a już zapomnianą albo wręcz nieznaną przeszłość, która w pewnej mierze dotyczy również naszych przodków.

Książka została podzielona na trzy części: Udział częstochowskich ewangelików w życiu miasta w XIX i XX wieku, dzieje cmentarza ewangelicko-augsburskiego i biogramy osób pochowanych na cmentarzu. Część pierwsza, przytaczając dane o liczebności tej grupy wyznaniowej w Częstochowie, ukazuje do dziś widoczny przemysłowo-gospodarczy, samorządowy i społeczny jej wkład w rozwój naszego miasta. Aby zaś przybliżyć sylwetki najznakomitszych, najbardziej zasłużonych, zawiera krótkie ich biogramy, bowiem groby znajdują się poza Częstochową; ta lektura staje się doskonałą okazją do przedstawienia ludzi, których „znamy” do dziś jako właścicieli pałaców, kamienic, fabryk.

Część druga omawia dzieje najstarszej, po cmentarzu Rocha, częstochowskiej nekropolii, od chwili powstania w 1858 roku, do czasów współczesnych. Część trzecią stanowią życiorysy ok. 100 osób spoczywających na cmentarzu, bądź posiadających tam groby symboliczne. Ciekawostką jest też fakt umieszczenia w części obejmującej biogramy, osób wyznania prawosławnego, baptystów i katolików - są tu biogramy obzerne, ale i bardzo skromne.

Historyczne przygotowanie autora oraz jego zainteresowania sprawiają, że książka jest poważnym źródłem wiedzy i okazją do zapoznania się z, na co dzień często nieznanymi, faktami. Myślę, że każdy ze zmarłych odegrał jakąś rolę w małej, hermetycznej społeczności ewangelików i trudno ustalać hierarchię ważności w ich prezentowaniu.

Przeglądając książkę, szukałam informacji o ludziach, których w różnych momentach swojego życia spotkałam. Oprócz osób pamiętanych raczej tylko z nazwiska, ze wzruszeniem czytałam biogram Zygmunta Bolesława Smigli-Zywockiego, wspaniałego kolegi mojego Ojca, który dla niego ukuł ksywkę „Pigmej”, a który był przez lata muzykiem, ale nie tylko, Ojca kompanem. (W styczniu br. Zbislaw Janikowski w „Życiu Częstochowskim” pisał o działalności „Sielanki”, w której obaj, ale nie tylko tam, grywali).

Natomiast brak mi biogramu długoletniego koleśnego i gospodarza plebani kościoła ewangelickiego, ojca bliższej mi koleżanki, która wprowadzała mnie w arkaną zawodu bibliotekarskiego i z której rodziną byłam i jestem bardzo zżyta - zadbane groby, żyjąca rodzina, nie uniemożliwiłyby zdobycie informacji.

Książka została wydana z wielką starannością, na pięknym papierze w kremowym kolorze (zdaniem znawców, optymalnym dla oka), na którym reprodukowano w sepii fotografie świetnie podkreślając klimat tematu. Znacomie zaprojektowana obwoluta oraz wyklejki czynną z wydawnictwa wzorcowy przykład edytorskiej elegancji.

Joanna Grochowska

Cierpienia starszego Wertera Wiosenne przesilenie czyli leżenie bykiem

Boli mnie umysł. Choć z definicji przywykłem do cierpienia, to jednakowoż ten ból mnie powala i kładzie na łopatkę. Leżę więc na cokolwiek ogrzanej przedwieśnią ziemi, rozciągając przed sobą słoneczną wizję szklanych domów i borykam się wcale czarującą. Bo wiem, że leżę. A ta wiedza jest kruchą pociechą.

Marzec 2008 jest w naszej mentalności, wypis - wymaluj, jak marzec 1968. Czas stanął w miejscu? Mimo, że już u Szekspira wychodził z orbit, to u nas czasu nie naruszył jego własny ząb (czasu). I w żaden sposób nie chce dla nas pracować - dla wspólnego pożytku. O tempora! O mores! - zachęałby się Cicero.

Wciąż sejmikujemy, mędrkujemy, oskarżamy się wzajem i obrażamy. Co i raz pełni fanfaronady porastamy w pierze. Lusk, chitynę, strając się w egrety czy kwiatki do koczów. I emigrujemy - najczęściej do Gotham, Kukanii, rodzimego Krzczelowa. Tamże jednak znów zagrabiamy księżyc, słońce, prostujemy banany, grodzimy posesje (klatki schodowe) plotami z kielbasek i pijemy z niesmakiem piwo, które sobie warzymy, płynące starą rurą. Gdyby chodziło co nieco o marzenia. Nie! Idzie o charakter. Ót, besserwisserizm, sarmacki obskurantyzm.

A więc leżę. Niebo jest dzisiaj nieludsko cudne. Leżę długi czas. Niebo mnie obserwuje obojętnie. To ja nic, bo przecież leżę. Ziemia - ta najbardziej pożądana Terra Repromissionis - lechce mnie, przyjmując eufemistyczne ciepło moich leżdy. A ja znów nic. A niech tam jej. Leżę i zerkam na cud - cud odpuszczenia. Zimy i grzechów. Zima ma się ostatnimi czasy źle: czy to z wyroków boskich, czy ludzkich (zapalenie, dziura ozonowa) - jest na wykończeniu. Ale czy aby na pewno? A globalne złodowacenie, nietolerancja, fobia taka czy imma, obojętność, zaniechanie...

Friedrich Schiller w „Dziewicy Orleańskiej” oznajmia z rozżaleniem: „Ach! Cuda już się nie zdarzają więcej!” A jednak. Zdarzają się. Oto Wielki Tydzień - czas zbożny dla wierzących, ale i ateistów, choćby z uwagi na zwykłą przyzwoitość. Taką tuszę nadzieje. Jak za sprawą czarodziejskiej różdżki (palmowej) albo aspiracji odmieniamy siebie pokornie. Zapominamy o swarach (nieste ty, nie na długo), odkładamy animozje - swoiste vacatio legis naszych (nie)moralnych normatywów. Stać nas na umyćie nóg naszym winowajcom. I to jest nasz cud mniemy! To ładne. Więc nie muszę już leżeć? Tylko dlaczego ten cud dzieje się tak rzadko? Zwykle świętęcznie - okółowielkowanie, okółobozonarodzeniowo. Albo podczas narodowej traumy. Odpukać! Dlaczego jesteśmy tacy niecierplivi, krótkodystansowi i zapominalscy? Obiecuje odmienić się natychmiast, bezwarunkowo i na długo. Próbuje wstać i zrzuć z siebie zadawnioną gnuśność, lecz właśnie zostałem skopany, nim zdążyłem powstać. Mam na gębie piętno swastyki - odcisnięte na odchodne glanem i podzwinięciem Cezara Farała.

Zatem leżę! Beziłny, zbity z pantałyku, czekam na Godota. I doprawdy nie wiem, jak długo przyjdzie mi zajmować tę pozycję (z góry upatrzoną?) - póki razem z martwych nie wstaniemy na naszych oczach.

Werter W.

Parki piękniejsze

Wkrótce będziemy mogli oglądać - rozkwitłe w pełnej krasie – parki podjasnogórskie, odnowione za ciężkie pieniądze (głównie unijne). Lekki niepokój wśród mieszkańców miasta wzbudza jednak zapowiedź restrykcyjnego przestrzegania regulaminu dla tego obiektu. Uchwalony przez radnych regulamin wymienia wiele zakazów (i słusznie, bo park to nie pole biwakowe) oraz zapowiada zamykanie parków na noc, tj. od godz. 22 do 7. Część częstochowian upiera się przy twierdzeniu, że w okresie letnim tylko część z wymienionych godzin można zaliczyć do nocnych.

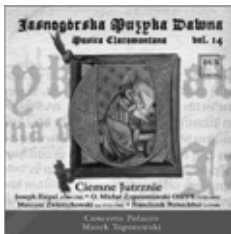


Fot. Leszek Pilchowski

Dawna muzyka

„Ciemne jutrznie” - płyta z cyklu Jasnogórska Muzyka Dawna - otrzymała prestiżową nagrodę muzyczną za rok 2007 (tzw. Fryderyka), w kategorii: Album Roku - Muzyka dawna i barokowa. Gratulujemy!

Zespół Kameralny „Concerto Polacco” dokonał nagrania w Sali o. Kordeckiego w marcu 2006 r. Opiekę nad realizacją projektu sprawowali: o. Nikodem Kilnar, prezes Stow. „Kapela Jasnogórska” oraz o. Sebastian



Matecki, sekretarz Stow. Warto dodać, że w archiwum Jasnej Góry zachowało się ponad 3 tys. rękopiśmiennych źródeł muzycznych, wśród których są dzieła ponad 120 polskich twórców, w tym 40 kompozytorów jasnogórskich.

Gdzie ta zima?

Ostatnia zima była w Częstochowie bardzo symboliczna i wielu mieszkańców miasta narzekało na brak zimowych fotografii w rodzinnym albumie. Tym, którzy nie zdążyli zrobić sobie zdjęcia, podrzucamy podarek z okolic Nowego Jorku. Tam to dopiero mieli zimą! Zdjęcie nadesłała nam Nasza Czytelniczka, **Bożena Nowicki**. Pięknie dziękujemy!



Silni regionem



Fot. Archiwum A3

Wszystkie samorzady regionu częstochowskiego podpisały „umowę o współpracy w sprawie realizacji Programu Rozwoju Subregionu Północnego Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Śląskiego na lata 2007-2013”. Brzmi okropnie urzędowo i trochę strasznie, spieszymy więc z wyjaśnieniem, że chodzi o nasze wspólne dobro.

WOREK CZĘSTOCHOWSKI nr 8

Le Vorecq Czenstochovien

pod redakcją Janusza Piernikarskiego i Jana T. Podżdama

CO SLYCHAĆ NA GÓRZE

Otrzymałmy wiadomość, że Urząd Miasta ostro wziął się za sprawy kultury. Specjalny Referat ds. Walki zZaściankowością, na którego czele stoi Krystyna Małodobry, przygotowuje szeroko zakrojony program aktywizacji środowisk artystycznych Częstochowy. Jeden z projektów wyznacza miesięczny kontyngent happeningów, które mają przedsięwziąć częstochowscy artyści jako warunek uzyskania dotacji. W telewizji lokalnej ludzie sztuki będą mogli się promować dzięki nowemu programowi „Zapasy artystów w blocie”. Do planów wakacyjnych należy zaś zorganizowanie dla uzdolnionej młodzieży ze szkół średnich wakacyjnego obozu w Kota Baharu (Malezja), podczas gdy młodzi artyści z Kota Baharu spędzą lato nad Wartą.

W PLENERZE

Zespół Teatruon Częstochowskiego przygotowuje na wiosnę serię przedstawień plenerowych. Na pierwszy ogień pójdzie „Henryk V” Szekspira w scenarii Miejskiego Wysypiska Śmieci. „W dzisiejszych czasach obserwujemy wszechogarniającą rywalizację – mówi reżyser Błażej Lometa. – Nawet w takich branżach, jak firmy pogrzebowe, dostawcy mleka dla szkół czy zakłady oczyszczania, pojawia się bezpardonowa walka o klienta. W podtekście zawsze jest władza, rozumiana nawet jako prawo tej czy innej firmy do wywożenia śmieci. Dlatego <Henryk V> stanowi uniwersalną parabolę wyścigu szczurów”. No i aktores będą radzi, gdy zamiast ciężkich panczerzy każe im się założyć pomarańczowe kamizelki.

NASZE GALERIE

Absolwent Wydziału Sztuki Akademii Jacka Długosza Tomasz Łohecek zaprezentował w „Mordowni Leonarda” nową wystawę pt. „Świszczące kobongi”. Instalacje tego artysty zawierają szerokie spektrum technik plastycznych: obrazy stylizowane na Breguhla sąsiadują z frotażami i ready-mades, wszystko zaś umotywowane jest wpływami fowizmu i wertycyzmu, jak również elementami światopoglądu spirytualnego australijskich Aborygenów. Można na nich dostrzec wśród zmasowanej faktury sylwetki jakby donutów, a może zreszta leibnizowskich monad. Zdaniem samego Łohecka, akomprehensywność jego dzieł wyraża się najlepiej w ilustrowaniu napięć współzależnych i wewnętrznych pomiędzy wręcz uniwersalistyczną abstrakcją a konkretną stylulacją gonadalno-neuronową.

ZE ŚWIATA POETÓW

Przypomniał o sobie poeta Jan Gawiał. 29 marca o godzinie 23.15 zwrócił na siebie uwagę, opuszczając pub „Antananarywa” przez witynęę.

Tak spektakularne opuszczenie tego przybytku było, jak ustaliła policja, efektem płomiennej dyskusji na temat „czy turpizm się skończył”. Poeta został przewieziony na pogotowie, gdzie usunięto mu z twarzy kilkadziesiąt kawałków szkła. W czasie całego incydu Gawiał nawet się nie zająknął, czy zamierza coś opublikować.

JURAWIAKA CZAS ZACZAĆ

Brak wyrazistych elementów kultury ludowej sprawia, że nasz region myli się ludzom ze Śląskiem albo nawet z Wielkopolską. Przeciętnemu osobnikowi kultura ludowa kojarzy się z tańcami, tymczasem jeśli już w regionie działa zespół ogólnopolskiej sławy, to i tak nazywa się „Śląsk”. Ale to się zmienia. Trwają prace nad stworzeniem oryginalnego częstochowskiego tańca ludowego, zwanego jurawiakiem. Choreograf, Domingo Jirafes, zapowiada, że gmina Mykanów, najbardziej roztańczona w naszym powiecie, będzie pierwszą, która zacznie tańczyć jurawiaka.

CO SIĘ WYDOBYWA

Nieznane dotąd rękopisy i skizy częstochowskiego poety przekłętého Epaminondasa Blacaka (kierownik piwiarni, w której pił na kredyt, nie mówił o nim inaczej jak „ten przekłęty poeta”), zostały odnalezione w gospodarstwie rolnym w Ważnych Młynach. Prawdopodobnie poeta zadołował je tam w 1978 r. przed udaniem się na emigrację wewnętrzną.



Na zdjęciu archiwum Blacaka.

SPOTKANIA NA PELENGOWEJ

Centrum Studiów Artystycznych „Neshoma” przy ul. Pelengowej 15 proponuje kolejne kursy dla młodych twórców. 24 kwietnia Mieczysław Kse poprowadzi warsztaty z chłopskiej poezji awangardowej. Natomiast 28 kwietnia odbędzie się wykład doktora Jordana Kozłodujskiego „Długosziana w regionie i poza nim”. Z powodu robót na ul. Pelengowej, uniemożliwiających dostęp do bramy, uprasza się o wchodzenie przez podwórkó pani Zosi. Pies jest szczepiony.



Nasze okładki:
I/IV – Ogródki działkowe
II - KS
III - AA

Zdzisław Żmudziński – ur. 17 maja 1952 r. w Zabrze. Studiował na Wydziale Malarstwa, Grafiki i Rzeźby w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych (obecnie ASP) we Wrocławiu. Wykładowca WSP w Częstochowie (dziś Akademia im. Jana Długosza); w latach 1994-1996 prodziekan Wydziału Wychowania Artystycznego. Obecnie na stanowisku prof. AJD, prowadzi pracownię plakatu i książki oraz zajęcia z rysunku i malarstwa. Jako twórca zajmuje się malarstwem, rysunkiem, grafiką warsztatową i projektowaniem. Uczestniczył w ponad 50 wystawach zbiorowych w kraju i za granicą. Prace w zbiorach m.in.: Muzeum Watykańskiego, Del Bello Gallery (Kanada), Galeria SID (Dania), oraz w zbiorach prywatnych w Polsce, Danii, USA, Kanadzie, Francji, Szwecji, Austrii, Niemczech, Anglii, Japonii.



